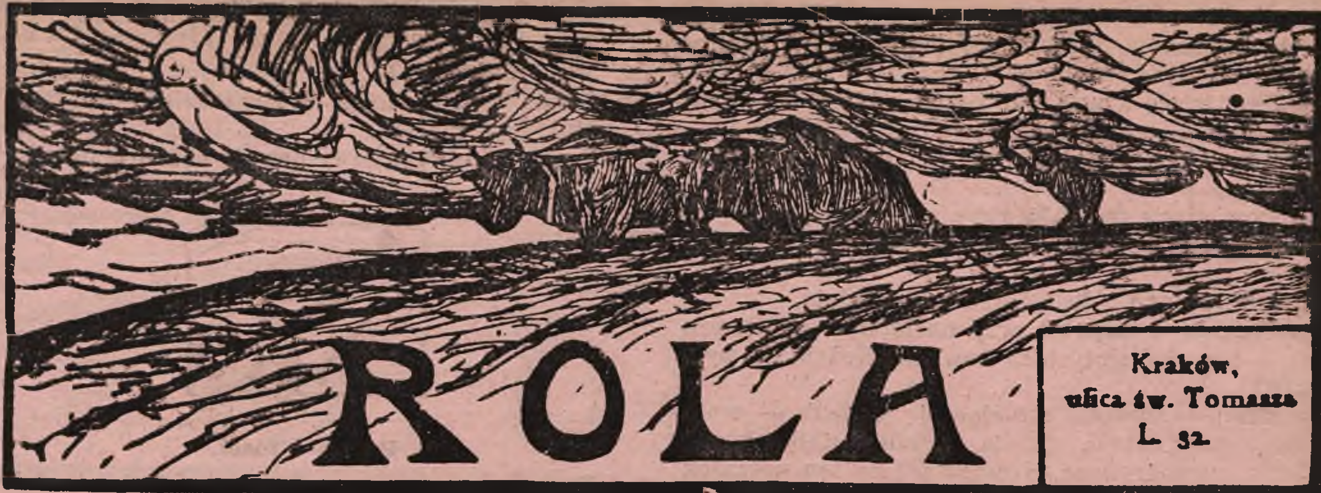
Numer 45. Nal. poczt. opł. ryczałtem. **Dnia 10 Listopada 1929**



ILUSTROWANY BEZPARTYJNY TYGODNIK KU POUCZENIU I ROZRYWCE.

Recepta na rozum.

Pewien Kaszub chełpi się w rozmowie z Mazurem, że wiele Kaszubów dorobiło się majątku lub stanowiska, a to dzięki rozumowi.

— Skądże się u was tyle rozumu bierze? — pyta Mazur.

— To od ryb, my dużo ryb jadamy, a ryba daje mądrość.

— Powiedz-że mi, jaką rybę mam spożywać?

— Owszem, poradzę ci, ale zapłać mi 5 złotych zgóry.

Mazur zapłacił i dostał dzwonko śledzia.

— Słuchaj — zapytał przy następnym spotkaniu Mazur — czy pięć złotych za kawałek śledzia nie było za dużo?

— Oho! — zawołał śmiejąc się Kaszub — moja recepta widać dobrze działa. Zjadłeś tylko kąsek śledzia, a już zaczynasz rozumować! Za ten początek trudny żadna cena nie jest za wysoka!



Skarga męża.

„Słowo to wiatr" — mówi stare przysłowie. — Oj, gdyby to prawda była, powiada pewien gospodarz, który miał bardzo gadatliwą żonę, — to moja kobieta obracałaby wszystkie wiatraki na świecie.

Niepewny środek.

— Wie kuma, jak doktór dziś wyszedł od męża, potrząsał głową!

— Kiej mój był chory, to doktór też ciągle potrząsał głową, ale to nic nie pomogło.

Delikatność.

Młody mąż: Co to płakałaś moja duszko?

Żona łkając: Tak.

Mąż: Dlaczego to?

Żona: Tego nie mogę ci powiedzieć.

Mąż: Nie możesz.

Żona: Nie mogę, bo ty pewnie będziesz uważał, że to za drogo.



Panna i rosół.

Rzekła panna raz z grymasem, że nie wyjdzie za mąż prędzej, aż zajedzie po nią książę, pełen herbów i pieniędzy.

— Et, co bo też panna gada... Na to rzecze jej kucharka — jak się rosół zacznie warzyć to i sam ucieka z garnka.



W sądzie.

— Panie sędzio, rób pan ze mną co się panu podoba, ale moją żonę puść pan wolno!

— Milczeć! Pan tu niema nic do gadania! I pan pójdziesz do kozy i żona... Każde jednak będzie siedziało w innej celi...

— Dzięki Bogu! Tak, to co innego!... A ja się bałem, że obydwoje będziemy znów razem!

Numer 45. Rok XII. Kraków, dnia 10 Listopada 1929

ROLA

Kraków, ulica św. Tomasza L. 32.

ILUSTROWANY BEZPARTYJNY TYGODNIK KU POUCZENIU I ROZRYWCE.

Prenumerata na rok 1929: Rocznie 12 zł, półrocznie 6·50 zł, kwartalnie 3·40; do Ameryki 2 i pół dolara rocznie: do Czechosłowacji rocznie 50 kor. cz., półrocznie 27 k. cz., kwart. 15 k. cz. — Numer pojedynczy we wszystkich agencjach i w Administracji „Roli“ 30 gr. — Adres na listy do Redakcji i Administracji: **Kraków, św. Tomasza 32.**
Konto pocztowe w Polsce: Kraków P. K. O. 406.301. Konto pocztowe w Pradze czeskiej: Praga Pocz. Urząd Czek. 500.868.

W rocznicę Wolności.

Każdy naród czci pamięć wielkich mężów i święci dni wielkich czynów dziejowych. Jeżeli odwrócimy kartę historji dziejów narodu polskiego z przed przeszło 150 laty, to zobaczymy, że na ziemiach naszej drogiej i ukochanej Ojczyzny, przelewają krew najdzielniejsi Jej synowie, bracia nasi, bo za Jej wolność i niepodległość.

Zdawałoby się, że Polska ta niegdyś mlekiem i miodem płynąca, wykreślona z karty Europy, straciła swój byt polityczny, przestała istnieć na zawsze, ale ta Polska nieśmiertelna po tysiąc razy skłóta, zdeptana, ujarzmiona, lecz zawsze niepodległa, w synach swoich się odradzająca, pozostała w sercach naszych, przechodząc z pokolenia na pokolenie. —

Przeszło sto pięćdziesięcioletnia niewola i potrójne jarzmo zaborców nie zdołało zgnębić ducha polskiego, ni wydrzeć z serc i piersi naszych tej gorącej miłości Ojczyzny, wpojonej już w wieku niemowlęcym przez matkę, która, dając życie polskiej duszy, dała jej równocześnie siłę ducha, siłę hartu i moc woli.

Nic więc dziwnego, że niemowlę, mając taki pokarm już od zarania, ukochało swą Ojczyznę całem swem sercem i duszą tak, że żadna siła wroga nie była w stanie wydrzeć mu świętego talizmanu miłości Ojczyzny. Aż nadszedł wreszcie dzień sądu i gniewu Bożego — dzień porachunku i sprawiedliwości, runęły trony, a na ich zgliszczach zajaśniała pełnym blaskiem „Zorza Wolności“.

I oto w dniu 11 listopada 1918 r. nastała chwila przełomowa, w której pękły kajdany krępujące Ojczyznę — „Zmartwychwstała“. Zapadł wyrok historji, przyznający nam nasze oczywiste i bezsporne prawa do naszego kraju. Z ujarzmionego narodu, staliśmy się wolnem państwem. Z okresu niewoli przeszliśmy w okres budowania własnego państwa. Skończyły się wreszcie gorzkie dni ucisku. Powstała Polska jako państwo niezależne, rozporządzające przyrodzonem prawem do samodzielnego bytu. Nareszcie rozjaśniały się nad nami niebiosa, wiekowe chmury niewoli ustąpiły i staliśmy się radosnymi uczestnikami chwili, do której tęskniły i dla której ginęły tłumnie, a naprożno, poprzednie pokolenia.

Byliśmy szczęśliwsi od nich.

Żarliwa tęsknota wieszczów, wymarzona Jeruzalem wolności, dokonała się w naszych oczach. Nam przypadło w udziale szczęście i zaszczyt wcielenia w życie niezłomnej, testamentem krwi i męczeństwa przekazanej idei niepodległości, lecz wraz z tem spadła na nas wielka odpowiedzialność i równie wielkie obowiązki.

W jesienny deszczowy czas Polska stała się wolną i zajaśniała w całym swym blasku i majestacie. — Szeroko przez polskie łany i pola, przez szare wsie i miasta, rozniosła się radosna nowina, która odbiła się głośnem echem po całej kuli ziemskiej i targnęła duszami miljonów. Dla wielu była to nowina, dla wielu przypadek, lecz byli i tacy, dla których dzień ten był uwieńczeniem trudu całego ich życia. — Od najwcześniejszej młodości czuli i myśleli inaczej, niż otoczenie, nazwano ich szaleńcami, straceńcami i to tylko dlatego, że prędzej niż inni twierdzili, że są już wolnymi.

I któż mógł ich zrozumieć, czy ci, co szambelańskie mając godności, wszechmogącego cara drzwi pilnowali? Czy ci, co dochodząc dostojeństw, tajnych radców, najjaśniejszemu panu służyli — czy wreszcie ci, co w dobrobycie „Vaterlandu“ Ojczyzny zbawienia oczekiwali?

Twierdziła ta garstka, że Polskę nikt inny, jak tylko my sami, cały naród, zdobędziemy, wskazując na obowiązek podtrzymania tych ofiar i wysiłku, jaki pradziadowie i dziadowie nasi w latach 1794, 1831 i 1863 ponieśli, na obowiązek gotowości i chwycenia każdej chwili broni w ręce i oko w oko, stanięcie z wrogiem o naszą świętą rację.

Zrodziła się wśród nich pieśń — przysięga o słowach tej miary, że drżeć zaczęło sumienie całego narodu. Na przekór wszelkim ugodowym hasłom zabrzmiały słowa: „Czy umrzeć nam przyjdzie wśród boju, czy w tajgach Sybiru nam zgnić, z trudu naszego i znoju Polska powstanie, by żyć“.

Rodacy! Tak patrząc na kartę dziejową Narodu naszego, od Jego zarania, aż do chwili zmartwychwstania, możemy napełnić szczerą radością serca na-

sze, gdyż ten okres pierwszego dziesięciolecia, zwłaszcza ostatnie lata od maja 1926 r. są świadectwem potężnego rozwoju twórczej inwencji polskiej, która wysuwa nas na front wśród wszystkich państw Europy, nietylko odbudowanych po wielkiej wojnie, ale nawet wśród tych, co tę wojnę zwycięsko zakończyły.

Szlachetna duma i poczucie spełnionego obowiązku mogą nas przejąć do głębi, gdyż wybudowaliśmy wiele najniezbędniejszej pracy. Dalszy jej ciąg muszą spełnić ci, co po nas przyjdą, jeżeli zamiast trawić cenny czas i energję życia na wzajemnem zagryzaniu się partyjnem, szczerze, a z wiarą i miłością Ojczyzny wezmą się do pracy twórczej.

Taką wiarę i miłość Ojczyzny posiada ten, którego oczy z pod krzaczastych brwi patrzą nietylko w dzień dzisiejszy i najbliższe jutro, lecz jakby w proroczych widzeniach sięgają w dalekie czasy i do dalekich pokoleń.

Takim synem i ojcem Ojczyzny jest twórca Legjonów Polskich, Marszałek Józef Piłsudski, — ten prawdziwy Wódz Narodu, któremu winniśmy tę wiarę Polską i tę miłość Ojczyzny, jaką dla Niej zachowuje.

Rodacy! W dniu dzisiejszym, w tym dniu ogólnej radości i wesela, wznieśmy potężny okrzyk, by przebrzmiał od krańca do krańca ukochanej Ojczyzny: „Najjaśniejsza Rzeczpospolita Polska niech żyje, Jej Prezydent Ignacy Mościcki niech żyje, niech żyje Marszałek i ukochany Wódz Narodu Józef Piłsudski“.

Władysław Płomiński.

HENRYK RÓŻYCKI.

SMOK.

Powieść z zamierzchłej przeszłości na tle legendy wawelskiej.

Skuba przyłożył ucho do dna łodzi i łowił szmery.

— Panie coś rzeka zagrała inaczej i zda mi się będzie źle! — rzekł nagle Skuba, trącając kolanem zamyślonego Kraka.

— My na morzu oswojeni z falą i taka nam nie groźna! — odpowiedział Krak.

— Nie groźna? Może!...

— Ale ja ją znam tę naszą kochaną... — mruczał do siebie Skuba. I tylko lepiej przycisnął ucho do dna łodzi.

— Nie dalej, jak obok Tynu, wali topielą! — mruczał.

— Ocho, znikła znowu i drży, jakby przejęta lękiem!... A teraz znowu się śmieje i chichocze, jakby drwiła z wszelkiego stworzenia!

— Panie każ łodzie obrócić przodem pod wodę, bo za chwilę rzeka nas wytopi !— rzekł nagle Skuba głośno blady z przerażenia.

Krak, uderzony jego dziwnym głosem, ocknął się z zadumy i popatrzył uważnie na skrępowanego Skubę.

— Na wszystkie bogi każ łodzie obrócić, ponieważ wnet będzie późno.

Nie rozumiejąc, dlaczego na tak małej rzece miałoby grozić im niebezpieczeństwo, Krak nie zwracał więcej uwagi na słowa jeńca, jednak uważniej popatrzał na wodę.

Toń, wirując, pędziła w kółko na powierzchni wody brudną pianę, tworzyła głębokie leje, że zdawało się, jakby rzeka zatrzymała swe wody i przestała płynąć, tylko w jakimś szalonym obłędzie kręciła się, jakby jakiś piekielny uprawiała taniec.

Popatrzał w górę rzeki.

Daleko przed nim w poprzek, wysoki na rosłego człowieka, brudny o głębokich ciemnych bruzdach i jasnej jak śnieg grzywie, w której łamało się słońce i ćmiło oczy widniał straszny wał i całą szerokością koryta rzeki pędził z szaloną szybkością na ich łodzie.

Krak rękę przyłożył do czoła, by ochronić oczy od zachodzącego słońca, popatrzył uważniej i pobladł...

— Łodzie obrócić czołem w górę rzeki! — wydał rozkaz, a sam dobył zza pasa nóż i rozciął pęta jeńcowi.

Skuba zerwał się na nogi i popatrzył przed siebie.

Olbrzymi wał wody, chlapiąc pianą, z wyciem tysiąca dzikich bestyj pędził na nich z góry.

Popatrzał na brzegi; byli w sam raz na środku rzeki.

Wisła, jakby zaparła dech w sobie i wyrównała nagle powierzchnię wody, a im zdawało się, jakby się uginała pod ciężarem ogromu pędzącej toni.

— Umiecie panie pływać? — zapytał Skuba.

Krak skinął głową.

— Będziemy się bronić!

Spiesząc się, odplątał od burty długą z lipowego łyka linę i opasał nią przez pół Kraka, a drugi jej koniec uwiązał u swego pasa. Siekierkę leżącą na dnie łodzi wetknął za pas, poprawił twardej czapy na głowie i złapał się wysokiego brzegu łodzi, którą fale poczęły ciskać gwałtownie na wszystkie strony.

Krak w milczeniu zezwolił na czyn Skuby, czekał, co będzie dalej. Zaufał krajowcowi i nie bał się swoich losów połączyć z tym dzielnym młodzieńcem.

Normandowie z ogromnym wysiłkiem pracowali wiosłami rzucani na wszystkie strony.

Wał wodny zbliżał się w szalonym pędzie i chwila jeszcze, a zaleje im łodzie.

Skuba spojrzał uważniej, wał wodny na strzał z łuku był przed nimi.

— To pewnie zemstę śle bożek za tę skórę! — pomyślał nagle Skuba i jakiś dreszcz przeszedł mu po plecach.

— Przecież kudły ma! — szepnął w trwodze.

— Wybaw mnie bożku tym razem i nie daj mnie topielicom, a ja ci dam całego czarnego wołu, a nawet dodam... modlił się, lecz nie dokończył obietnicy, ponieważ ogromny wał wodny ze strasznym hukiem wpadł na nich. Nagle, jak mgnienie oka, podniósł przodem łódź do góry, wykręcił nią młynka i wgniótł ich swoim ciężarem w otchłań wodną razem z łodzią przewróconą do góry dnem.

W jednej chwili łodzie i ludzie zniknęli, a wał pognał w szalonym pędzie w dół rzeki.

Skuba, który śledził rozszalały żywioł, był przygotowany na wypadek i z chwilą, kiedy łódź podniosła się przodem do góry, nie czekał jej upadku, tylko odbił się nogami od krawędzi i skoczył w wodę, aby uniknąć przywalenia jej ciężarem.

Zakręciło nim młynka i rzuciło w głębię, w którą leciał i leciał, że zdawało mu się końca nie będzie nigdy.

Rękami i nogami zagarnął wodę, chcąc na chwilę dostać się na powierzchnię, ale lina uwiązana u pasa ciągnęła go w otchłań i nie pozwoliła mu posuwać się w dowolnym kierunku.

Powietrza coraz bardziej brakowało mu w piersi, a chwila mocowania się z okropnym żywiołem stawała się wiekiem.

Spostrzegł, że ciągnąć linę i płynąć nie potrafi, bo tchu mu brakowało. Siły coraz bardziej go opuszczały, więc zmienił kierunek, dał susa w stronę ciągnącej go liny, a potem w górę.

Na chwilę wydostał na powierzchnię głowę. Zaczerpnął powietrza pełną piersią i wzrokiem złapał kierunek, lecz pociągnięty liną schował się znowu pod wodę.

Ciągniony liną za biegiem szalonego prądu wiosłował rękami i nogami i kierował się w stronę lądu. Od czasu do czasu sam pozwalał się ciągnąć, a wtedy starał się wystawić głowę i odetchnąć powietrzem.

Wkrótce spostrzegł, że główny prąd wody minął i choć pędzony ciągle w dół rzeki, jednak stale zbliżał się do brzegu. Częściej już mógł wystawić głowę i odetchnąć, ale zato siły coraz bardziej go opuszczały, że mimo woli zaczął macać u pasa uwiązaną linę.

— A może odwiązać linę i ratować samego siebie? — pomyślał.

— Ale nie!... Raczej zginąć, jak taką niegodną uczynić rzecz...

— Dodam ci jeszcze bożku cielaka, a jak ubiję smoka, to jego samego z tuzinem czarnych baranów złożę ci w ofierze, tylko pomóż i nie daj, abym się utopił. Wam zaś topielice dam za siebie żółtego kołacza wielkości cienia świętego dębu, a jak chcecie, to i włosy dam sobie podstrzyc, tylko mnie puście!... obiecywał w myśli.

Wystawił głowę i tuż koło siebie zobaczył czarny punkt na wodzie.

Wyciągnął rękę i namacał dno łodzi, która wywrócona płynęła gnana prądem wody.

Chwycił się krawędzi rękami, a nogami wiosłując, nadał jej kierunek skośny i za chwilę zboczył z łożyska rzeki, wpłynął między wiklinę, potem trącił sobą parę wierzchołków mniejszych krzewów, aż zatrzymał się u grubego pnia dębu.

Rękami złapał się gałęzi i wdrapał się na górę i usiadł na grubej odnodze.

Nogami poszukał oparcia i ciągnął, co sił linę.

Dobywszy Kraka, ułożył go obok siebie na gałęziach, następnie przywiązał go powrozem do drzewa.

Poszukał serca i przyłożył ucho do piersi.

Biło...

Z rany ciętej na głowie sączyła się krew. Widocznie łódź wywrócona wałem wody uderzyła go kantem burta, rozcięła mu skroń, od czego zemdlał.

— No żeby nie lina byłoby po tobie!... — szeptał Skuba i darł swoją konopną koszulę, aby mu obwiązać ranę.

— Wróg, bo wróg, ale mnie nie wydał, więc pomóc mu trzeba!... mógł mnie też dzisiaj zabić, a nie zabił, więc go ratować wypada!... — mruczał do siebie, opatrując ranę.

Siekierką naciął cienkich gałęzi i opierając je na grubszych konarach, ułożył wygodne leże, poczem ułożył nań nieprzytomnego Kraka a sam usiadł na gałęzi obok i dyszał.

Słońce skrzyło się za las i mrok stopniowo obejmował w swe panowanie okolicę.

Prąd wody roztrącany na pniach drzew pluskał i chlapał strugami piany zwisające mu nogi, a powierzchnia wylewu prędko podnosiła się coraz wyżej.

Rozglądnął się po okolicy.

Przed nim majaczył w półmroku Wawel, a na prawo na małej wyżynie małe domki opuszczonej Słobody, pomiędzy któremi poznał swój, a trochę dalej starej wróżki domostwo.

Odciął siekierką długą gałąź i zmierzył głębokość wody.

Lecz gałąź okazała się za krótka, bo nie dostała dna...

Zahaczył ją tedy na drzewie, tak, aby końcem dotykała powierzchni wody i za chwilę zauważył, że przypływ stanął w równej mierze, ponieważ koniec jednako tkwił zanurzony.

— Zaraz zacznie opadać!... — szepnął do siebie. — Znam ja cię Wiselko, znam!... I wiem, że przewalisz wnet nadmiar wody!...

— Brrr.... zimno! — szeptał.

— Żebym to był sam, tobym, jak kot, z gałęzi na gałąź, z drzewa na drzewo doszedł do chałup. Ale tego tu zostawić nie mogę...

— O, ruszył się! Tak!... dobrze dobrze!... — mówił i chwycił go za głowę, bo Krak począł wyrzucać z siebie wodę.

— No teraz będzie lepiej!... I chociaż popiłeś wody, nic ci nie będzie...

Za chwilę Krak otworzył oczy i zdziwiony ciemnością zapytał:

— Gdzie jestem?!

— Na dębie!..

— Gdzie?... — i wsparł się na łokciu, rozglądając się uważnie, ale legł znowu.

— Na drzewie, a pod nami woda! — odpowiedział Skuba.

— Prawda!.. — szeptał Krak.

— Pamiętam, że zmiotła nas fala, a ja przywalony łodzią straciłem pamięć!... Dzięki ci, za to, coś dla mnie uczynił!...

— Leżcie, panie, spokojnie, bo jeszcze wpadniecie do wody, jak się będziecie ruszać... Na podziękę jeszcze czas!... Zresztą, byliście wy dla mnie dobrzy, to i ja zrobiłem, co mogłem!...

Krak leżał zmęczony i dyszał ciężko. Myślą przebiegał ostatnie wypadki, dziwiąc się w duchu, że Skuba zamiast go uśmiercić, sam naraził swe życie, aby od zguby uchronić swego najeźdcę. Dzielny to musi być lud!...

— Czy wszyscy twoi ziomkowie tacy, jak ty? — zapytał.

— A pewnie! Że dobre pamiętają zawsze, ale krzywdy nie dadzą sobie zrobić!...

— A dlaczego ty ratowałeś mnie od topieli?

— Boś ty panie tam w chacie u wróżki nie dał mnie ująć, chociaż poznałeś, że ja godziłem w smoka! Boś tam na tamtym brzegu dzisiaj mógł mnie zabić, a nie zabiłeś! A kiedy nas miała zalać fala, rozciąłeś mi więzy, a nie zostawiłeś na pastwę związanego! — Zresztą... i umilkł, jakby się namyślał, co mówić.

Po długiej dopiero chwili zaczął na nowo:

— Przystańcie, panie, do nas i pomóżcie mi uśmiercić smoka, a ja wam skrzyknę wszystkich Bogorjów, Starżów, Jaksów i Toporów, którzy z wdzięczności okrzykną was swoim władyką i złożą wam osep i narzas.

Krak podniósł się na łokciu, źrenice błysły mu fosforycznem światłem i ręką pomacał do boku za mieczem.

— Co?! Ty chcesz, abym ja, władyka, jakiego ty dopiero chcesz robić był... zdrajcą?

— Nie ty, panie!... Ponieważ ja się z nim sam załatwię!... .odparł spiesznie Skuba.

— Nie zrobisz tego!... Wpierw ja cię uśmiercę!...

I porwał się Krak, by złapać Skubę za gardło, ale w głowie załupało go strasznie, że runął z powrotem

na gałęzie i gdyby go nie podtrzymał Skuba, byłby wpadł do wody.

— Mówiłem wam, panie, że jak się będziecie ruszać, to wpadniecie do wody!.... A teraz byłoby po was, bo sił mi już brak, by was ratować!..

To rzekłszy, okręcił go sznurem i przywiązał do konarów drzewa.

— Tak, teraz możecie leżeć bezpiecznie!

— Widzicie panie, ja się nie dziwię, bo wiem, że wy jego sługa!...

— Jam mu równy stanem i rodem i nie sługa!... przerwał mu Krak.

— Ale służycie mu!... A moglibyście nie służyć!... Tylko posłuchajcie: Ja prosty wolny kmieć, ale słyszałem od Bojana Jaksy, że tam daleko na zachodzie za naszym borem są książęta i króle, co mnogiemi rządzą ludami.... Nie znam się na tem, bo obca nam jest ta władza, ale miarkuję ja, pocoście tu przypłynęli, na swych łodziach... Tego tylko nie pojmuję, dlaczego służycie smokowi, który pożera ludzkie serca, a gorącą krew używa za napój... Nie przecz panie!... Widziałem sam na własne oczy, jak przybiliśce do brzegu... Słyszałem potem, jak sługa mówił do Bojana: „Smok pan tej ziemicy!“ Potem rzucił się na Salwidę, rozdarł jej piersi i pożarł jej serce!..

Głos mu się załamał żałością i chrapliwym, przerywanym głosem mówił, jakby już tylko do siebie:

(Ciąg dalszy nastąpi.)



Na obczyznę.

O Polsko! Jakiś ty kraju zawodny, bo chociaż posiadasz przeolbrzymie bogactwa, jednak nie możesz własnych ludzi wyżywić i zdolna jesteś znieść ten przesmutny widok pędzonych na Zachód na obczyznę jakąś tajemniczą siłą, co Nędzą się zwie.

I jakby na zew tajemniczego głosu, porzucali ludzie czarną ojcowską glebę, porzucali strzechę rodzinną, rodzinne sioła, i znęceni obietnicami agentów szli w dal na obczyznę do Francji i Belgji, aby tam stać się bogatym i wrócić może później z pieniądzmi.

I szli niebaczni, opuszczali bez żalu własną ukochaną Ojczyznę, aby gdzieś daleko bez trudu znaleźć szczęście.

Obczyzna nęciła niebacznych do siebie, ukazywała im się w najpiękniejszych barwach, aby później ich wrzucić w przepaść wynarodowienia, lub by odartych z sił, jako rozbitków fizycznych i moralnych wrócić na łono Ojczyzny.

Dworzec kolejowy w Mysłowicach, kędy zebrali się do odjazdu emigranci, pomimo nocy rozbrzmiewał licznemi głosami i błyszczał jak wielka świetlna latarnia.

Wśród tłumów zrozpaczonych widać było jednak nienaturalną wesołość i rozgwar, którym chcieli zatłumić rosnący niepokój i smutek.

Powoli usadowili się wszyscy w wagonach na daleką podróż. Tylko jakiś wieśniak z żoną i synem wyrostkiem w malowniczych strojach śląskich nie mogli się ulokować. Wreszcie wieśniak ujrzał wolne miejsce i krzyknął na żonę: — Matka! pódź sam, ino haw jest plac...

Po chwili siedzieli już na ławce. Siedzieli smutni i zamyśleni. Kobieta przyciskała dwuletnią córeczkę do piersi i zalawszy się łzami, cicho płakała. Przestraszała ją obczyzna i dławił ją bezmierny żal za zmarnowaną ojcowizną.

— Nie wrócą już samkej, nie wrócą, nie! Boże! Boże! — łkała cicho. Nikt jej nie pocieszał, a mąż i syn siedzieli posępni i zamyśleni.

Gdzieś tam w wagonie ktoś począł na harmonijce wygrywać skoczne melodje, aby rozweselić serca wygnańców losu. „Alboż my to jacy tacy, jacy tacy...“ — rozbrzmiewało w wagonach. Skoczna melodja jednak wnet spoważniała i przez słowa „Na stos rzuciliśmy swój życia los“ szła do swego poważnego wzruszającego finału. Wszyscy śpiewali wzruszeni i żegnali Ojczyznę.

Po chwili wśród entuzjastycznych okrzyków: — „Żegnajcie Mysłowice! Żegnaj Ojczyzno! Do widzenia!“ — pociąg zniknął w ciemnościach nocnych.

Koziołkowa zwolna uspokoiła się, ale z niepokojem wielkim poczęła spoglądać na spoczywające dziecko. Było ono rozpalone i gorączkowało. Poczęła dziecko pieścić, całować i gotowa była przyjąć chorobę na siebie, byle tylko dziecku życie ocalić.

Na nic się jednak wszystko zdało. Śmierć nie puściła swej ofiary i czuwała wciąż nad dziecięciem. Nieubłagana! Nie obchodziło ją nic bolejące serce matki.

Ranek już świtał na niebie, kiedy dziecię oddało ostatnie tchnienie. Koziołkowa omal nie oszalała. — Porwała się z miejsca i napoły z płaczem krzyczała dzikim głosem:

— Zginiecie! głupie ludzie, szukacie w obczyźnie szczęścia? Ha! ha! ha! Moje dziecko zginęło, zginiecie wszyscy!

Tu porwał ją płacz.

W Pradze, stolicy Czech, zabrano jej przemocą trupa dziecka.

I pozostało ciało pochowane przez obcych ludzi i na obcej ziemi i nawet łezki nikt nie uronił. Rodzice nie widzieli pogrzebu, bo pociąg mknął dalej.

Ile cierpień, niewygód przebyli w ciągu kilkudniowej podróży, trudno opisać.

Przybyli wreszcie do miejsca przeznaczenia. — Poitiers!

W szeregach jak węźniowie, wśród urągliwych okrzyków tłumu udali się na przeznaczone kwatery.

I rozpoczęły się smutne dnie żmudnej pracy dla obcych.

Stary Koziołek wraz ze swym synem 18-letnim Frankiem pracował ciężko na kopalni. Oj, ciężko mu było!

Musiał obrabiać najgorsze prace, a w dodatku bardzo źle go traktowano, oszukiwano z pieniądzmi, a on biedak nie mógł się nikomu użalić i poskarżyć. Nie rozumiał języka francuskiego. I mieszkanie na czwartem piętrze było przedmiotem zgryzoty. Czuł się w nim, jak zwierz w klatce.

Począł tęsknić za wsią ojczystą, za swoimi, — i zwolna truł się, marniał, zapadał na siłach, aż wreszcie nawet bez Sakramentów św. cicho zgasł...

Skromny grobowiec chłopa polskiego oblany łzami żony i syna wyrósł na cmentarzu francuskim.

I rozpoczęły się bolesne dnie dla rozbitków.

W dwa miesiące po śmierci Koziołka poszła za nim wdowa, rozpaczająca za ziemią ojczystą, dzieckiem i mężem.

W pustej izdebce pozostał sam ich syn. Niktby nie poznał tego dawniej wesołego i pięknego chłopca.

Pozostał z niego ponury cień tragedji emigranta. Słowa umierającej matki: — „Synu, zaklinam cię, wracaj do naszych stron! — brzmiały mu wciąż w uszach.

Ale wiązał go kontrakt. Jeszcze dwa lata musiał tu pracować. Codziennie rozmyślał długo, a wizja matki stawała mu wciąż przed oczyma.

Wreszcie znikł. Ukrywając się przed pościgiem, unikając ludzi, dążył pieszo do dalekiej Ziemi.

— — — — — — — — — — —

Dużo czasu upłynęło do chwili, kiedy postać ludzka podobna raczej do cienia, niż do człowieka, stanęła na ziemi ojczystej i płacząc z radości, poczęła całować ją w uniesieniu..

Dubiel Ludwik.

ZABAWA W PIŁKĘ NOŻNĄ.



Do najbardziej rozpowszechnionych sportów w świecie należy gra w piłkę nożną. Grają w nią po wielkich miastach, grają po miasteczkach, a w ostatnich czasach dotarła ona nawet do wsi i coraz bardziej tam się rozpowszechnia. Wielu z naszych Czytelników zna zasady tej gry, więc nie będziemy ich tu wyłuszczać. Dla nieznających wystarczy zaznaczyć najważniejsze zasady tej gry. A więc przedewszystkiem potrzebuje ona obszernego miejsca, po któremby gracze mogli swobodnie biegać. W ściśle oznaczonych od siebie odstępach na przestrzeni tej ustawia się dwie bramki z słupków, otoczonych z trzech stron siatką; strona wolna zwrócona jest do boiska zabawowego. Na pole „boju" wychodzą dwie drużyny, ubrane w koszulki odmiennego koloru. Zadaniem każdej drużyny jest wpędzić piłkę do bramki przeciwnika, której broni drużyna przeciwna. Piłkę wolno kopać tylko nogami, a co najwyżej podbić ją głową. — Rękami może ją chwytać tylko bramkarz t. j. ten, który broni bramki. Która drużyna wpędzi ową piłkę do bramki przeciwnika więcej razy, ta wygrywa.

Jest to sport ładny i wyrabiający siłę oraz zręczność młodzieży i byłby nadzwyczaj polecenia godny, gdyby nie jedna wada, ale wada ta już nie od niego pochodzi, ale od grających, którzy uniesieni zapałem walki, częstokroć stają się brutalni i niejednokrotnie zamiast w piłkę kopią w nogi, a nawet w brzuch przeciwników. Stąd zdarzają się nieraz nieszczęśliwe wypadki i cały urok gry osłabiają. Gdyby nie to, grę w piłkę nożną należałoby jak najgoręcej zalecać i jak najusilniej ją rozpowszechniać, szczególniej po wsiach, gdyż pominąwszy nawet wyrabianie sił i zręczności, odwodzi ona młodzież naszą od przesiadywania po karczmach, od wałęsania się bezcelowego po wsi, od zbytków rozmaitych, a daje godziwą rozrywkę nietylko tym, którzy się nią zabawiają, ale i tym, którzy się tej zabawie przypatrują.

Grą w piłkę nożną zabawiają się przeważnie młodzieńcy. Po wielkich miastach, jak Warszawa, Łódź, Kraków, Lwów i inne jest obecnie po kilka drużyn piłki nożnej, po mniejszych miastach po jednej i dwie, ma je niemal każde miasteczko, a nawet w wielu wsiach już takie drużyny się pozawiązywały.

Najlepsze drużyny polskie należą do tak zwanej Ligi piłki nożnej i co roku rozgrywają pomiędzy sobą zawody o mistrzostwo Polski. W bieżącym roku do Ligi należy 13 drużyn. Każda z nich ze wszystkimi innymi musi rozegrać po dwie gry. Która z drużyn grających zrobi więcej bramek, tej liczy liczy się 2 punkty, jeżeli obydwie uzyskują jednakową ilość bramek, obydwie otrzymują po 1 punkcie. Punkty te liczy się przez cały rok, a która z drużyn przy końcu rozgrywek ma najwięcej tych punktów, ta zostaje uznana na rok następny „mistrzem Polski". W ubiegłym roku takim mistrzem Polskim była drużyna krakowska, występująca pod nazwą: „Wisła". W ro-

ku bieżącym toczą się jeszcze w każdą niedzielę zacięte walki o zwycięstwo pomiędzy pięcioma z tych trzynastu drużyn, a mianowicie „Garbarnią“ z Krakowa, „Łódzkim Klubem Sportowym“ z Łodzi, „Wartą“ z Poznania, „Wisłą“ z Krakowa i „Legją“ z Warszawy. W chwili, gdy te słowa piszemy największe szanse zostania mistrzem Polski ma „Garbarnia“, do której należą młodzieńcy jednej z garbarń krakowskich, choć nie jest wykluczone, że w ostatniej chwili, któraś z wyżej wymienionych drużyn jeszcze ich w ilości uzyskanych punktów prześcignie.

Tu i ówdzie próbują takie kluby zakładać i dziewczątka. Jest to jednak zabawa dla nich nieodpowiednia. Może być, że są one niejednokrotnie zręczniejsze nawet od mężczyzn, ale w wątłych swych nożętach nie posiadają na tyle siły, aby przez półtorej godziny kopać nielitościwie Bogu ducha winną piłkę. Męczą się prędko i opuszczają przed czasem plac boju. Taką „babską“ drużynę widzimy na naszym obrazku, a że są to dziewczątka ładne, toć chyba milej popatrzyć na ich urocze twarzyczki, aniżeli na kopiące nogi.





MACIEK BZDURA GADA:

Powiadali jesce nieboscyk dziadek do niebosckiej babki, ze kobieta a tajemnica, to dwa całkiem oddzielne stworzenia. I ono chyba tak jest, kiedy tak powiadali mój dziadek do mojej niebosckiej babki. Ale choć tak powiadali mój dziadek i choćby się zdawało, ze tak jest, to mnie się widzi, ze jest to całkiem inacej i pewnie kuzden mi przyzna, ze jakby nie było kobiet, toby nie było i tajemnic. Bo i powiedzcie sami, cy widzioł kto kiedy chłopa, albo kilku chłopów, którzyby się ześli gdziesi kajsi w kącie i septali sobie na ucho tajemnice? Mnie się zdaje, ze nie! Chłopy, jak się zejdą i pocną gadać, to ich słychać bez najgrubse ściany. Kto gada tak głośno, ten nie ma tajemnic. A niech się zejdą w tem samem miejscu dwie, albo styry baby, to nie będą gadały otwarcie i scyrze, ino septu, septu, coby ich nikt nie słysał, no bo jusci tego, co one tam gadają, nikt słyseć nie powinien, a kuzden musi myśleć, ze to jakasik tajemnica.

Albo weźmy taką dzieuchę z miasta, co to bez swej dziadowskiej torebki nigdzie się nie rusy. Jak ona ją otwiera, ranyściewy! Myślałby kto, ze w torebce tej ma jakie wazne akta, jakby jaki minister spraw zagranicznych i boi się, coby jej kto tego nie zwędził. A temcasem jest tam trochę pudru i zasmarkana chustecka. A i na wsi podobnie. Jak się chłopu zrobi w nosie mokro, to wyciąga z kiesenie chuścicę, wytrzepie ją dokumentnie na powietrzu, a dopiero potem wsadzi w nią nos i pompuje z niego, jaze miło. Dzieucha zasię inacej; ona wam tak delikatnie swą chusteckę wyciąga i tak ją ostroźnie rozwija, jakby w niej jakiego ptaska chowała i bała się coby jej nie ucikł. I jak ją tajemnico wyciągnęła, tak tajemnico chowa, jakby tam nie były smarkociny, ale conajmniej jakie perły lub dyjamenty.

Chłop chłopa, jak się o co spyta, to tak głośno, zeby go nawet na drugim końcu wsi było mozna słyseć, a baba babę, jak się o co pyta, choćby to był najmniejsy drobiazg, to pewnikiem tak pocichutku, ze wsyscy myślą, ze to najwięksa tajemnica.

Męczyźni, jak się przyjaźnią, to w trójkę, albo w czwórkę. a kobiety ino w dwie i co jeden przyjaciel myśli, to wiedzą wszyscy jego przyjaciele, natomiast przyjaciółka wszystko co najważniejse przed swoją przyjaciółką ukrywa. Trzej męczyzni to scyrość, dwie baby to tajemnica.

Baba to ze wszyćkiego robi tajemnicę. Jak jej pęknie pończocha, albo co inksego, to opowiada o tem swej przyjaciółce w największej tajemnicy. Jak się jej zdaje, ze tam coś jej słuząca zwojowała, to powie to swej przyjaciółce w największej tajemnicy, a ta jej przyjaciółka powtórzy to znowu innej przyjaciółce znowu w tajemnicy i ta tajemnica z jednej babskiej gęby leci do drugiej tak sybko, jak iskra elektryczna po drutach telegraficznych. I im tajemnica jest mniej prawdopodobna, tem sybciej się po świecie rozchodzi. Baby, jak mają se co o kiem opowiadać, to nim zacną to opowiadanie, choćby ono nikogo nic a nic nie obchodziło, to najpierw pozamykają drzwi i okna, aby ta tajemnica przez nie nie uleciała, bo i co one miałyby potem w tajemnicy opowiadać.

Bez tajemnicy zadna baba zyćby nie mogła. Jest ona im potrzebna, jak powietrze, jak sen, jak kochanek. Ale to trzeba powiedzieć na pochwałę kobiet, ze nie zdradzają nigdy swej tajemnicy głośno, lec poufnie, po cichuśku, septem tak, aby tego nikt inksy nie słysał, ino ta, do której swą tajemnicę mówią. A robią to dlatego tak, bo wiedzą, ze ta ich przyjaciółka, której tajemnicę opowiedzą, nie schowa jej dla siebie i nic z niej nie ujmie, ale zaraz znowu po cichuśku i septem opowie dalej i niejedno doda i w jaskrawsych kolorach przedstawi. A i to ma swoją korzyść, bo jakby te tajemnice wszyscy odrazu słyseli, to nie moznaby jej za kuzdem razem zmieniać i nie byłaby tajemnicą.

Mozeby miał kto za złe babom, ze zdradzają posłysane tajemnice. Alež uchowaj Boże! One to robią nie ze złego serca, ale z umiłowania tej tajemnicy i nie chcą, aby ona przepadła w zapomnieniu.

Dlatego tajemnica i kobieta to dwie istoty ze sobą nierozerwalnie złączone i póty tajemnic na świecie, póki istnieją na nim kobiety. Gdyby brakło na świecie kobiet, nie byłoby na nim i tajemnic, a świat stałby się zamało interesujący.

Ale nie mówcie o tem nikomu, gdyż ja wam to gadam w największej tajemnicy.

PODRÓŻ PO DALEKICH KRAJACH.

Nowa Kaledonja I.

Na wschód od Australji, na oceanie Spokojnym, znajduje się grupa wysp, należących do Francji, a nosząca nazwę Nowej Kaledonji. Jest to miejsce karne



Dojbat — bożek raju.

dla przestępców francuskich. Stąd obok dzikich plemion jest tam już niemało ludności francuskiej, która ciągle się wzmaga bądź przez wysyłanie tam na wygnanie skazańców, bądź przez stosunki kupieckie i dobrowolne osadnictwo.

Korale, których tu bardzo wiele po brzegach, i złoto gdzieniegdzie się pojawiające, stanowią jeden z główniejszych przedmiotów handlu i przemysłu tychże kolonji. Klimat miejscowy jest zdrowy, temperatura umiarkowana, ale charakter dzikich i ludożerców odstrasza Europejczyków i czyni pobyt na tych wyspach przykrym i niebezpiecznym.

Nowokaledończycy są oczywiście poganami, a wierzenia ich religijne są bardzo ciekawe. Oto na krańcu jednej z wysp mieszka duch złego, Kiemua. Siedzi on na skale z dzidą w ręku i czyha nieustannie na wędrujące dusze, aby je uwikłać w swe sidła, a żadna mu ujść nie zdoła. Nad uwikłanymi duszami w te sidła znęca się Kiemua w najrozmaitszy sposób, ale wreszcie, namęczywszy do woli, puszcza je i pozwala udać się do Cyabilum. Ma to być kraj rozległy, umieszczony w głębi wód morskich. Jego piękność i urodzaj przechodzi wszelkie wyobrażenie. Są tam całe lasy drzew pomarańczowych, których owoce służą do zabawy szczęśliwym mieszkańcom tego raju. W miarę, jak się w nim dusze schodzą, kraj ten szczęśliwy rozciąga się, a wyspiarze myślą, że już wkrótce dojdzie do ich ziemi. Niema tam żadnej nocy, ale panuje wieczne światło, a nigdy senność nie trudzi tam oka.

Cyabilum ma też bożka swego, któremu jest na imię Dojbat. Jest to olbrzym, który wiecznie na jednem miejscu stoi nieruchomy, widzi wszystko, co się w jego państwie dzieje; nie dopuszcza, aby tam kto zasnął, a nieustannie pobudza do uciech wszystkich, którzy się do raju dostali. Od tak dawna przewodniczy nieruchomo tym uciechom rajskim, że na olbrzymiem ciele jego wyrosły już drzewa, a około nóg jego wytworzyły się już skały. Podobiznę jego widzimy na naszym pierwszym obrazku.

Dajbot nie woła nigdy dusz do siebie, ale one same idą do niego, zwabione nieprzezwyciężonym urokiem. Mieszkańcy raju doznają wszelkich uciech, a co do jedzenia mają wszystko, czego tylko mogą zapragnąć. Nieznane tu są nudy, smutek, niezgoda, choroba, ani żadna inna przykrość. Wiek każdego rozpoznaje się tam po kolorze pomarańcz, któremi się wszyscy bawią. Ci, co najpierw tu przyszli, bawią się pomarańczami suchemi, ci, co po nich nastali, dojrzałemi, ci zaś , którzy najpóźniej tam przybyli, zielonemi.

Tak więc wyobraźnia przedstawia im raj bardzo uroczy i bardzo łatwy do osiągnięcia, bo równie źli, jak dobrzy dostają się do niego. Dobrze jeszcze, że sidła Kiemuy ratują jakkolwiek pojęcie naturalne w człowieku o niezbędnym wymiarze sprawiedliwości.

Oprócz Dojbata i Kiemuy wyobrażają sobie Nowokaledończycy jeszcze pewnych bożków leśnych, którzy są dla nich nietylko przedmiotem pewnej czci religijnej, ale także grozy i bojaźni. Bożkowie ci nazywają się dieuwy, czyli dziewonie. Jest to rodzaj satyrów leśnych, żyjących wspólnie po lasach i brzegach morskich. Niewiadomo, skąd się biorą, a nie



Dziewonie Nowokaledończyków.

umierają nigdy. Krajowcy utrzymują, że nieraz słyszeli ich rozmowy i pląsy, i znachodzili ślady ich stóp. Ścinanie drzewa w lesie uważają za niebezpieczne, naraża bowiem, wskutek wpływu tych złych duchów, na różne choroby. Większe niebezpieczeństwo zagraża niewieście, jeżeli jej się kiedy wydarzy zasnąć w lesie, bo wtedy Dieuwy mogą jej łatwo odebrać władzę umysłową, pozbawić rozumu, a w takim razie jedyny jeszcze dla niej ratunek pozostaje w pewnym czarnoksiężniku, którego nazywają Puala-Dieuwy, to jest czciciel Dieuwów. Ten tylko różnemi tajemnemi środkami, połączonemi z modlitwą do Dieuwów, może ją wyleczyć z pomieszania zmysłów.

Na naszym drugim obrazku widzimy właśnie gromadkę tych Dieuwów, którzy zapewne wśród dziewiczych tamtejszych lasów wybrali się na jakąś psotną wycieczkę....

(Ciąg dalszy nastąpi.)

JULJAN BACZYŃSKI.

Złoty trzewiczek.

Powieść z XII wieku.

14. W więzieniu.

Straszne w owych czasach były kary na zbrodniarzy. Wystawiano najprzód skazańca na hańbę publiczną pod pręgierz, czyli słup katowski z kamienia wyciosany i tam smagano go i piętnowano. Potem oślepiano, ścinano, wieszano, obcinano członki, którymi zbrodni się dopuścił, tłuczono kołem, pieczono lub palono żywcem na stosie, a to stosownie do tego, czy większa lub mniejsza zbrodnia spełniona została [1]).

Taki więc los oczekiwał biednego Pietrka. Jakiż żal i smutek ściskał jego serce w więziennej celi! — Jakże strasznie posądzonym został on, co tak świątobliwe prowadził życie, co marnej muszce krzywdy by nie zrobił, co źdźbła zboża nikomu nie ruszył!

A stara matka Hanna, co uszczęśliwiona oczekuje na niego, cóż sobie pomyśli, że go tak długo nie widać, gdzie się podział? Z żalu serce jej pęknie, gdy się dowie, co się stało?

A Jagienka? Ona może więcej boleć będzie od samej matki. Gdyby jeszcze wiedziała, jak po tem, co się stało, Piotruś dla niej zmieniać się począł? Bo on lubił ją i cenił, jako dziewczynę, skromną, wdzięczną i pobożną, ale teraz, ponad wszelkie ziemskie uczucia, jemu tylko miłość Chrystusa przepełnia serce!

Przemieniała się jego dusza.

Promienne oblicze Zbawiciela, Jego święte oczy w niego utkwione on ciągle widział. A tak mu słodko, gdy o tem myśli, ani nie zważa i nawet to mu obojętne, jaki los go spotka, bo czuje, że jest w jakiemś promiennem kole w otoczeniu Zbawiciela, a błogie ciepło, jasność i natchnienie całego go przejmuje i podnosi. W takim stanie śmierć ziemska, na którą mógł być skazany, była mu obojętna.

Rozmyślając o tem Piotruś, oparł się o niedomknięte drzwi celi więziennej. Te skrzypnęły i uchyliły się lekko, a czuwający dozorca przyskoczył w jednej chwili.

— Ha złodzieju, umknąć chcesz, myślisz że ujdziesz kata?! — wrzasnął i pchnął Pietrka tak silnie, że runął na ziemię, dzwoniąc kajdanami.

— Może pójdziesz po drugi trzewiczek?! — dodał szydersko i trzasnął za nim ciężkiemi drzwiami.

— O Jezu Miłosierny, niech Ci to będzie na cześć i na chwałę! — szepnął Pietrek, nie mogąc się z ziemi podźwignąć.

[1]) Później po r. 1257, gdy Bolesław Wstydliwy urządził miejską osadę, a niemieccy osadnicy niemieckiem prawem rządzić się poczęli, wykonywano takie wyroki na rynku przed ratuszem. Ale w tej epoce nie było jeszcze ani ratusza, ani zapewnie i rynku a tylko jedna główna ulica szła przez drewniane miasto z pod zamku w kierunku frontów kościołów OO. Dominikanów, P. Marji i św. Jana, przedłużając się aż do najdawniejszego kościoła słowiańskiego św. Krzyża przy ul. Długiej.

15. Gdzie złoty trzewiczek?

W tym dniu, w którym Pietrek z kościoła ze złotym trzewiczkiem wybiegł, przyszedł koło południa, jak zwykle kościelny, aby zamknąć kościół. U bramy siedziała jeszcze, drzemiąc, stara Pieczarzyna. Kościelny obszedł kościół, przed krucyfiksem się zatrzymał, pomodlił się, spojrzał uważnie i głośno krzyknął:

— Trzewiczka niema, o Chryste!!

Wypadł przed kościół, stanął i patrzył osłupiały.

— Pieczarzyna, kto tu był w kościele?! — zawołał nagle. Baba powstała.

— A któżby, jeno Pietrek grał, jak grywa!

— Aha, Pietrek?!

— A cóż to?

— Nic... cichaj!

Kościelny pobiegł do księdza. Wkrótce ukazały się idące ku kościołowi dwie osoby.

Zdaleka bieliła się postać księdza Norbertanina [1]).

— Pieczarzyno, byłaś w kościele? — zapytał ksiądz, zbliżając się.

— Ja, mój Boże, o dobrodzieju, ja tylko u proga siedzę i Pana Boga chwalę!

— Tylko!

Weszli do kościoła, nieznacznie baba wsunęła się za nimi; z poza murka rozglądała się ciekawie.

Ksiądz i kościelny chodzą koło krucyfiksu, przychylają się, patrzą, zaglądają, szukają, złotego trzewiczka, jak nie było, tak niema.

— Stara, czego tu chcesz? — zawołał ksiądz. Pieczarzyna już dostrzegła, o co chodzi, szybko schowała się za mur, potem cichutko wysunęła się za drzwi. Wkrótce ksiądz i kościelny wyszli z kościoła, trzasnęły za nimi głucho zamykane podwoje. Idąc ku domowi nie widzieli już Pieczarzyny. W drodze słychać ich głosy niespokojne.

— Jeśli on ukradł, pójdzie na stos!

— Na stos?! Ale to nie on! — zawołał ksiądz, odtrącając myśl posądzenia Piotrusia.

Pieczarzyna podniosła się z ukrycia i powlokła się ku staremu dębowi pod Łysą górą. Kościelny skręcił do chaty starej Hanny, nie zastawszy Pietrka, zaraz stamtąd powrócił.

Ksiądz Norbertanin pospieszył teraz do biskupiego domu w Krakowie, by uwiadomić władzę o tem, co zaszło. Wszedłszy do pierwszej izby, został tam już owego zakonnika, co wraz ze złotnikiem odebrał był Piotrusiowi złoty trzewiczek. I ten skarb drogocenny leżał już złożony na bocznym stoliczku, a biskup Gedeon zawiadomiony był o wszystkiem.

[1]) Kiedy Jaksa z Miechowa, wymurowawszy w r. 1162 kościół św. Augustyna, rozpoczął przy nim budować klasztor dla PP. Norbertanek i umarł, synowiec jego biskup krakowski Gedeon dokończył jego dzieła. Sprowadził z Pragi swoją siostrę na pierwszą ksienię klasztoru, a także księdza zakonu św. Norberta i polecił, aby tenże zawiadował kościołem parafjalnym św. Salwatora, który ze wszystkimi dochodami do klasztoru przyłączył.

16. Wyznanie skrzypka.

Ksiądz stanął przed zwierzchnikiem.

— Pater — rzekł biskup, co tam dzieje się u was, z kościoła giną kosztowności?

Ksiądz się zmieszał.

— O Przewielebny Pasterzu, ja właśnie z tem przyszedłem! — rzekł. Pobożny chłopak grywał przed



— Ha złodzieju, umknąć chcesz, myślisz, że ujdziesz kata?!

Panem Jezusem, kościół bywał otwarty, nigdy nic dotąd nie zginęło!

— Cóż to za chłopak?

— Biedny Piotr Skała, szewc i skrzypek, mieszka z chorą matką, najporządniejszy człowiek!

Biskup Gedeon pokręcił głową.

— Idźcie no ojcze — rzekł — do więzienia grodzkiego, tam zamknięty jest ten chłopak, co do złotnika przyniósł na sprzedaż ów trzewiczek złoty. Przyznać się nie chce, mówi rzeczy trudne do uwierzenia, Boże wielki!

— W więzieniu, o Chryste? — zawołał ksiądz, skłonił się i pospieszył na wskazane miejsce.

W zamku wpuszczono go zaraz do więzienia Pietrka. Ukazał mu się smutny i zgnębiony, na rękach i nogach dźwigał ciężkie kajdany. Dzwoniąc niemi upadł do nóg kapłanowi.

— Piotruś, to ty? — zawołał ksiądz Norbertanin. Nieszczęśliwy całował go po rękach.

— Pietrku, na miłość Boską, coś ty popełnił?

— O mój dobrodzieju, jam nie winien!

— Wziąłeś trzewiczek złoty?

— O ja niegodny! Pan Jezus sam zrzucił mi go do rąk moich, więc wtedy wziąłem go, o tak ojcze mój, tak samo wyznam na świętej spowiedzi!...

I dysząc na kolanach bił się w piersi.

Ksiądz ręce podniósł i cofnął się, jak przerażony.

— Co ty mówisz, Chrystus trzewiczek ci zrzucił?!

— Czy być może?! — zawołał i zastanawiać się począł.

— O synu mój, czyżby cud taki?! — rzekł z przejęciem, ręce złożył i odwrócił się. — W jednej chwili cała świątobliwa postać młodzieńca, jego życie i czyny stanęły mu na myśli. Wzniósł oczy do góry i natchnioną krótką odmówił modlitwę do Stwórcy. Pietrkowi stały łzy w oczach; dozorca stukał już koło drzwi, przypominając spóźnioną porę.

Po modlitwie przystąpił kapłan do Pietrka, złożył ręce na jego głowie i rzekł:

— Ufaj synu w sprawiedliwość i miłosierdzie Boże, wielkim jest Pan w Niebiosach i bez Jego woli włos ci z głowy nie spadnie!

Skrzypek znów do nóg mu się rzucił.

Ojcze i Dobrodzieju pozdrówcie, pocieszcie chorą matkę moją, ona tam biedna czeka na mnie...

Ksiądz z bólem serca słuchał, wychodząc, tych smutnych słów. Cudowne zdarzenie, w które wierzyć zaczynał, przepełniało serce skromnego sługi Bożego.

Sam w milczeniu złoty trzewiczek od biskupa odebrał i sam w cichości do kościoła św. Salwatora go odniósł. Tu z wzniesionemi w Chrystusa oczyma długo i gorąco się modlił.

Wieczorem odwiedził starą Hannę.

— O dobrodzieju, gdzieś mój Piotruś jedyny mi się podział! — zawołała stęskniona.

— Matko, wnet powróci twój syn... powróci... jeżeli niewinny! — mówił kapłan z westchnieniem.

I odszedł z pochyloną głową.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Dzwony.

Zmartwychwstałej Polsce.

Uderzyły srebrne — dzwony — srebrne dzwony —
dzwo-ny — dz-wo-ny —
i wydały dziwne tony:
„Z dymem pożarów z kurzem krwi bratniej
do Ciebie Panie bije ten głos“ —
zajęczały srebrne dzwony —
dzwo-ny —
i we wszystkie świata strony
płynie jęk ich rozmodlony —
tak żałośnie, tak rozgłośnie
jęczą — dzwonią — dz-wo-nią — dz-wo-ny —
— — — — — — — — — — — — — —
A nad szarą smutną ziemią,
niebo płoni się łunami. —
Niewolnicy tłum się wlecze,
szarpie targa kajdanami —
czasem zgrzytną brzękną miecze. —
I znów cicho dzwonią dzwony —
dzwo-nią — dzwo-ny — dz-wo-ny —
a tłum jęczy zrozpaczony:
„Boże Ojcze Twoje dzieci, płaczą żebrzą lepszej doli,
rok po roku marnie leci, my w niewoli my w niewoli“.

Grają — jęczą — płaczą — dzwony —
dzwo-ny — dz-wo-ny —
— — — — — — — — — — — — — —
A tam hen w śnieżystej dali
rząd kibitek się przesuwa —
cisza, ból i smutek szarzy —
tylko wiatr się w stepie żali
i na śniegów białej karcie
kreśli słowa — słowa wiary:
„Jeszcze Polska nie zginęła“.
I grają znów i dzwonią dzwony,
na Sybir tam w dalekie strony —
nad kibitkami dzwonią — dz-wo-ny —
„Jeszcze Polska nie zginęła
kiedy my żyjemy“ —
— — — — — — — — — — — — — —
I płynie śpiew srebrzystą dalą
ponad szaremi hen polami,
gdzie już na wojnę wici palą.
Zatargał wicher proporcami
chorągwie cicho się rozwiały,
a górą — górą orzeł biały —
A tam na przedzie Wódz — on jedzie
z pod Karpat śpiący hufiec wiedzie —
na boje hej, na krwawe boje!
Szare mundury, maciejówki,
U butów brzęczą im podkówki
za pasem ciężą im naboje —
a głos ich w przestrzeń rozdzwoniony
uderza niby srebrne dzwony:
„Hej strzelcy wraz nad nami orzeł biały
a przeciw nam śmiertelny stoi wróg“ —
zaśpiewały srebrne dzwony —
dz-wo-ny —
A tam hen z pobojowiska
zakrakały kruki wrony,
u krwawego hen ogniska:
Tam już czerwona krew się leje,
padają młodzi Bohaterzy
i krwią spisują Polski dzieje —
Tam na dalekiej gdzieś rubieży
spowity cały w sinym dymie
walczy o Polski wielkie imię —
I wstaje z mroków polska sława
i Ona, która w grobie legła,
jak marzeń sennych cudna zjawa —
powstaje P o l s k a N i e p o d l e g ł a!
I znowu grają dzwonią dzwony
na wszystkie cztery świata strony —
grają — dzwony — dzwonią — dzwo-ny:
„My pierwsza Brygada, strzelecka gromada,
na stos rzuciliśmy swój życia los — na stos — na stos!“
— — — — — — — — — — — — — —
Grają — dzwo-nią — dzwo-ny — dz-wo-ny
dz-wo-ny.

Kachna Łęczynianka-Łza.

Pierwszy i ostatni hazard.

Było to w roku 1855 — opowiada pewien właściciel w Ameryce — gdy parowcem odbywałem podróż na rzece Missippi. Na dole w saloniku okrętu spędzało sobie czterech panów czas grą w kostki; byli to bogaci właściciele i grali wysoko. Około nich gromada ciekawych, którzy się grze przypatrywali; i ja stałem między nimi. Wtenczas to byłem świadkiem sceny, której nie zapomnę, póki żyć będę.

Jeden z grających, człowiek w średnim wieku, postawił ostatniego dolara (mniejwięcej 9 złotych), przegrał i wstał, chcąc odejść od stołu.

— Czy pan wszystko przegrałeś? — zapytał drugi.

— Do ostatniego grosza! — odparł pierwszy.

— Pożyczę panu.

— Nie! — odrzekł tenże i potarł ręką po czole, jakoby mu myśl szczęśliwa przyszła. — Mam jeszcze inny sposób. U góry na pokładzie mam dwóch niewolników, kobietę i pięknego chłopaka, których kupiłem przy wsiadaniu na okręt. Zapłaciłem za nich 800 dolarów gotówką. Puszczę ich na losy — los po 20 dolarów, a losów będzie czterdzieści. Kto z panów weźmie los, aby wygrać tę parę?

Z razu nikt nie miał ochoty, chociaż to nie było fraszką za 20 dolarów wygrać parę niewolników, wartości 800 dolarów.

— Potrzeba, abyście panowie widzieli towar — rzekł — a prędzej nabierzecie ochoty do kupna. — I zwracając się do służącego okrętowego, zawołał: Sprowadź jeno tę dziewkę i chłopaka, których w Natcher kupiłem, są oni na pokładzie!

Służący poszedł i po kilku minutach powrócił z niewolnikami.

Owa „dziewka" była to piękna Mulatka w 35 roku życia, a chłopiec był jej synem; miał on około lat dwanaście i odznaczał się jaśniejszą cerą od matki.

— Prześliczna para! — szeptali sobie właściciele, którzy widać znali się na podobnym „towarze". Mnie dreszcz przeszedł na wspomnienie, że te dwie nieszczęśliwe istoty miano sprzedać jak bydło, że jako martwy towar wygrać je miał jeden lub drugi.

Zaczęto kupować losy.

Zbliżyłem się spiesznie do niewolników.

— Jesteście ochrzczeni? — zapytałem.

— Tak, panie — odrzekli — jesteśmy katolikami.

Przyczem spojrzeli na mnie tak żałośnie, że mi łzy stanęły w oczach.

Nie grałem nigdy w życiu i za nic w świecie nie byłby mię nikt do gry namówił, ale teraz pomyślałem sobie: „pierwszy i ostatni raz!"

Przystąpiłem do właściciela niewolników.

— Masz pan jeszcze los? — zapytałem.

— Jeszcze są dwa — odrzekł tenże.

— Proszę o nie! — zawołałem, rzucając na stół cztery dziesięciodolarówki.

— Jak się pan nazywasz? — zapytał tenże, aby me imię zapisać.

— Zapisz pan jako właścicielkę pierwszego losu ową „dziewkę".

— Co? — krzyknął — niewolnicę?

— Tak jest! odrzekłem spokojnie — a jako właściciela drugiego losu jej chłopca.

Nie zapomnę nigdy tego wzroku, jakim mnie obdarzyli Ninetta i Tomasz.

Grupka ludzi otoczyła nas dokoła.

— No niechże i tak będzie — rzekł dotychczasowy właściciel biednych niewolników. — Jeżeli któremu z was posłuży szczęście, natenczas wygracie sami siebie. Ha, ha, ha!...

Rozpoczęła się gra. Każdy z 30 losujących trzema kostkami rzucić musiał trzy razy. Najmniejsza zatem ilość rzuconych ócz mogła być dziewięć, a największa dziewięć szóstek, czyli 54.

Pomiędzy pierwszymi z dziesięciu losujących największa ilość ócz wynosiła 36, jedenasty rzucił 42, potem rzucano mniej aż do dwudziestego pierwszego, który rzucił 49.

Całe towarzystwo było rozgorączkowane — trudna była sprawa więcej rzucić jak 49. Istotnie nikt z następnych tej liczby nie dosięgnął. Nadeszła kolej na niewolników.

— Pójdź Ninetto — rzekł Januer — na ciebie kolej.

Niewolnica zbliżyła się drżąca. Milczenie panowało ogólne, tylko hałas machiny parowej przerywał ciszę.

— Może ten pan, który za mnie zapłacił, za mnie też rzuci? — rzekła Ninetta nieśmiało, błagalnie na mnie patrząc.

— Niech twój chłopiec rzuci za ciebie — odrzekłem — może więcej szczęścia ode mnie mieć będzie.

Tomasz przystąpił i wziął kubek. Matka stała opodal z zaciętemi ustami i złożonemi rękoma; chłopiec drżał jak osina — w ręku jego spoczywało szczęście lub najokropniejsza nędza matki i jego. Wreszcie potrząsł i rzucił: „Trzy!"

Przez chwilę patrzał na te trzy jednostki, poczem upuścił kubek i blady i przerażony odstąpił.

— Rzucaj dalej, Tomku — rzekł Januer.

— Na nic się to, panie, nie przyda, nie mogę już do 49 dosięgnąć.

— Nie szkodzi, ale rzucić musisz.

Chłopiec rzucił jeszcze dwa razy, wyrzucając dziewięć i piętnaście. Przegrał los matki.

— No — dodałem mu otuchy — rzucałeś dopiero za matkę. Teraz rzuć za siebie — nie trać odwagi — niech ci Pan Bóg dopomoże!

Zebrane towarzystwo nie składało się bynajmniej z ludzi religijnych lub uczuciowych, a mimo to na moje szczere życzenie prawie jednogłośnie dodali: „Amen".

Chłopiec powtórnie zbliżył się do stołu i drżącą dłonią schwycił kubek. Przez chwilę walczył ze sobą, aby się uspokoić — milczenie ogólne zapanowało, gdy chłopiec potrząsł kubek i rzucił.

— Pięć — pięć — sześć — razem szesnaście — rzekł Januer i zapisał tę liczbę.

Zebrano kostki w kubek i Tomasz rzucił powtórnie.

— Sześć — sześć i pięć. Dobrze. Siedmnaście!

Chłopiec blady jak ściana po raz trzeci wziął kubek. Matka zaledwie trzymając się na nogach, trzymała się poręczy schodów. Trzeci raz padły kostki.

— Trzy szóstki — ośmnaście! Razem trzy rzuty czynią 51! Tomku, chłopcze, wygrałeś! Jesteś wolnym i twoja matka wolna! Panie kapitanie, zapisz pan w akcie kupna jego nazwisko, a ja podpiszę. Ci panowie tu wszyscy są świadkami!

Ninetta i Tomasz odzyskali wolność!

Sceny, która teraz nastąpiła, opisać nie umiem.

Gdy dojechawszy do celu, wysiadałem z okrętu, zbliżyła się do mnie Mulatka ze synem, prosząc mię, abym ich wziął ze sobą, bo bez środków utrzymania nie wiedzieli, dokąd się udać. Musiałem przystać na to. Ninetta jest odtąd niejako członkiem mej rodziny; żona bez niej obyć się nie może, a dzieci kochają ją

jak matkę. I Tomasz pracuje u mnie za zasługi, z których sobie już piękny kapitalik uzbierał, a jeżeli sobie kupi jaką własność i ożeni się, to w życiu nie będę mieć wierniejszego i przywiązańszego sługi, chociażbym mu pensję ministra płacił.

To jest historja pierwszego i ostatniego mojego hazardu.



Poradnik gospodarczy.

O nawożeniu drzew owocowych.

Nie wszyscy właściciele sadów zasilają drzewa swoje nawozami. Wielu jest mniemania, że drzewa owocowe nawozu wcale nie potrzebują. Ale jest to mniemanie mylne, gdyż drzewa, wydając nieraz tak wielką ilość z siebie owocu, potrzebują koniecznie pokarmu, aby i na przyszły rok taką samą ilość tego owocu wydać mogły. Jeżeli drzewo rokrocznie będzie miało dostateczną ilość dla siebie pożywienia, to nie ulega wątpliwości, że co roku będzie obficie rodziło

Drzewa tak, jak wszystkie inne rośliny, potrzebują dla siebie rozmaitych pokarmów, a główne z nich są: kwas fosforowy, potas i azot. Już ojcowie nasi wiedzieli, że popiół drzewny jest pożyteczny dla szczepów i sypali go naokoło pnia. Popiół drzewny zawiera w sobie jednak tylko potas. Jest on wprawdzie także jedynym z potrzebnych pokarmów dla drzew, ale nie jest pokarmem zupełnym, gdyż nie ma w nim azotu, a kwasu fosforowego ma tylko niewiele, a ten jest trudno rozpuszczalny. Chociaż popiół nie jest nawozem pełnym, nie zaszkodzi jednak popiół zużytkować do nawożenia drzew, ale w takim razie oprócz popiołu należałoby użyć także gnojówki przegniłej, gdyż z niej uzyskuje się potrzebny azot. Pozostawałby brak tylko kwasu fosforowego, który musiałby być uzupełniony mączką Thomasa, czyli tak zwaną tomasyną.

W oborniku znajdują się wszystkie trzy potrzebne pokarmy dla drzew, więc ktoby chciał użyć go do zasilania drzew owocowych, to już nie potrzebuje żadnych innych nawozów sztucznych dodawać.

Nawożenie drzew bardzo się opłaci; ktoby jednak żałował użyć do tego celu obornika, niech postąpi tak, jak to wyżej powiedzieliśmy, t. j. niech użyje popiołu, przyczem niech popiół ten polewa gnojówką, co wykonać bardzo łatwo, gdyż sady zwykle są położone blisko obory, a z nawozów kupnych pozostawałyby jedynie żużle Thomasa, którychby dodać należało. Wydatek to bardzo niewielki, bo już 1 kilogram żużli dany pod jedno drzewo zasila glebę bardzo znacznie w kwas fosforowy. Żużle Thomasa są lepsze od superfosfatu, bo zawierają w sobie także trochę wapna, które dla drzew jest także potrzebne. Chcąc jednak mieć pożytek z nawożenia pod drzewa, koniecznem jest uczynić to w jesieni, a nie na wiosnę, bo wtenczas na wiosnę drzewa będą miały gotowe pokarmy i będą mogły korzystać.

Drzewa, zwłaszcza starsze, rozpościerają swoje korzenie w znacznej odległości od pnia, a te końcowe korzonki są bardzo cienkie i one to wysysają pokarmy, których drzewo potrzebuje. Dlatego więc nie należy dawać nawozów blisko pnia, bo tam tych korzonków ssących niema, ale w pewnem oddaleniu od niego, gdzie te korzonki się znajdują. Im starsze drzewo, tem dalej posuwają się te korzonki, więc też starsze drzewa należy nawozić w kole więcej oddalonem od pnia, jak drzewa młodsze, które korzonków drobnych jeszcze tak daleko nie wysunęły. Należy więc naokoł pnia wykopać rowek na jakich 12 cali szeroki, niezbyt głęboki, mniej więcej na 6 do 10 cali i w nawóz zaopatrzyć, poczem nakrywa się go ziemią i wyrównuje. Przy kopaniu rowku należy baczyć, aby nad nim końce korony w linji pionowej były widoczne.

Naturalnie, że i oczyszczenie drzew z mchu i robactwa zapomocą wapnowania jest bardzo pożyteczne, ale jest ono skuteczne dopiero wtenczas, gdy równocześnie użyjemy nawożenia. Wtenczas jedynie możemy się spodziewać corocznie dobrego plonu owoców.

Poradnik lekarski.

Cholera azjatycka, panuje w Indjach, skąd rozszerza się po innych krajach. Powstaje ona z prącika cholerycznego, u osób skłonnych do chorób, z osłabionem trawieniem, nerwowych. W formie łagodnej występuej jako szybko przemijająca biegunka; w formie uporczywej występują wymioty, pragnienie, kurcze. Skóra blednie, oczy wpadają, wargi sinieją, tętno słabnie, wreszcie ustępuje, chory majaczy, popada w senność i ogólny upadek sił. Wyzdrowienie może jednak nastąpić i w tej groźnej formie.

Leczenie: W razie objawów podejrzanych nic nie jeść i wywołać poty w sposób następujący: Duże złożone prześcieradła macza się w gorącej wodzie i okłada niemi brzuch, uważając, by chorego nie oparzyć. Około nóg umieszcza się flaszki, gorącą wodą wypełnione i owinięte w ręczniki. Następnie okrywa się chorego aż po szyję, kocami. Chwilowe odkrycie może pogorszenie spowodować, dlatego też należy uważać, aby to nie nastąpiło. Równocześnie pić na poty gorącą herbatę, kawę, lub ziółka. Orzeźwiającym napojem jest letnia, przegotowana woda, z bardzo małą ilością czerwonego wina. Zimna woda i wszelkie mocniejsze trunki alkoholowe są zakazane. Dobrą również jest herbata z jałowca, dzięgla, piołunu i krwawnika. W razie boleści, rozcierać spirytusem kamforowym, lecz pod nakryciem.

Ballada o niedowiarku.



Żył garbus — niedowiarek,
bednarzem pono był —
za biedę — za kalectwo
Boga lżył.
— — — — — — — —

Ośnikiem strugał — strugał,
siekierą ciesał — tarł
i wieżę — wieżę — wieżę
w niebo parł...

I lata — wieki może
wwyż się gramolił — lazł,
by Bogu bezeceństwa
krzyknąć w twarz.

Raz zaskwierczały przęsła —
do wieży wichr się wwarł,
garbusa — dyle — belki
stoczył w piar...

Opian.

KRONIKA.

Przepowiednia pogody na listopad. Znany austrjacki meteorolog-amator, Józef Schaffler, którego przepowiednie meteorologiczne okazywały się często trafne, przewiduje na listopad następujący stan powietrza: I miesiąc listopad — pisze — będzie miał przebieg pomyślny i da nam jeszcze dni pogodne i przyjemne. Należy się spodziewać dwu krótkich okresów mroźnych: jednego pod koniec pierwszego, a drugiego pod koniec trzeciego dziesiątka dni tego miesiąca, wkrótce wszakże po nich nastąpi odwilż. Początek miesiąca będzie prawdopodobnie mglisty i pochmurny, a w górach spadną śniegi i szerzyć się będzie mróz. W środku miesiąca wskutek wyżu nad Azorami powietrze łagodne z deszczem od czasu do czasu przy temperaturze powyżej normalnej. Ostatni tydzień miesiąca nieprzyjemny i zimny.

Otwarcie Sejmu. Jak to już zaznaczyliśmy w poprzednim numerze „Roli", Sejm nasz został zwołany na dzień 31 października. I rzeczywiście w dniu tym zjechali się do Warszawy posłowie, jedni aby rozpocząć uczciwą pracę, inni aby dalej warcholić, jak dotąd warcholili. Ale w dniu tym do otwarcia Sejmu nie przyszło. Marszałkowi Sejmu p. Daszyńskiemu doniesiono, że wśród publiczności, jaka zeszła się na otwarcie Sejmu, są też oficerowie. P. Daszyński polecił jednemu z urzędników Sejmu, aby powiedział oficerom, by Sejm opuścili. Ci jednak odpowiedzieli, że przyszli powitać Marszałka Piłsudskiego, jak czynią to zresztą zawsze, gdy ten urzędowo występuje, a nadto że są obywatelami państwa, więc mają prawo, jak i obywatele cywilni przysłuchać się obradom Sejmu, zwłaszcza, że posiadali bilety wstępu na otwarcie Sejmu. Pan Daszyński jednak tak się przestraszył owych oficerów, że uparł się i powiedział, że dotąd Sejmu nie otworzy, dopóki oficerowie gmachu sejmowego nie opuszczą. Ci zaś ustąpić nie chcieli, gdyż wyglądałoby to, że oficerowie polscy zostali za drzwi wyrzuceni. Pana Daszyńskiego poparli jego towarzysze klubowi, socjaliści, poszli za nim Wyzwoleńcy, Piastowcy i posłowie innych narodowości. W obronie oficerów wystąpił Marszałek Piłsudski, poparli go posłowie Bezpartyjnego Bloku Współpracy z rządem i inne mniejsze stronnictwa. Pan Daszyński widząc, że nie zdoła wymódz usunięcia oficerów, napisał do Pana Prezydenta Mościckiego list, że pod bagnetami sejm obradować nie może, dlatego też on Sejmu nie otworzy. Ponieważ zaś Marszałek Piłsudski oświadczył, że żaden z oficerów nie miał bagnetu, co zresztą było prawdą, poradził p. Daszyńskiemu, aby otwarcie Sejmu odroczył na kilka dni, co się też stało. We wtorek został Sejm zwołany ponownie, nim jednak rozpoczął obrady, Pan Prezydent odroczył go na dni 30.

Chłopi a Marszałek Piłsudski. O uczuciach, jakie żywi lud wiejski do wskrzesiciela naszej Ojczyzny, Marszałka Piłsudskiego, świadczy fakt, jaki się zdarzył w ubiegłym miesiącu w Wolborzu w województwie łódzkiem. W województwie tem wielkie wpływy na wsi posiadało Stronnictwo chłopskie i przy wyborach przeprowadziło tam swych posłów. Otóż w ubiegłym miesiącu poseł tego stronnictwa p. Fijałkowski urządził w Wolborzu wiec sprawozdawczy. Zebrało się masa chłopa. Dopóki pos. Fijałkowski poruszał sprawy związane z potrzebami gospodarki wiejskiej, słuchano go spokojnie, ale gdy przeszedł do krytyki obecnego rządu i poruszył osobę Marszałka Piłsudskiego, wśród wiecowników zerwała się jednogłośna burza i dał się słyszeć jednomyślny okrzyk: „Nie ruszać Pana Marszałka! Niech żyje Pan Marszałek Piłsudski! Precz z agitatorami!" Zbity z tropu pos. Fijałkowski, widząc tak jednomyślną a wrogą dla siebie postawę ludu wiejskiego, umknął wśród krzyków i gwizdów nietylko z zebrania, ale wyniósł się całkiem z Wolborza, aby tam zapewne już nigdy nie powrócić. Widać z tego, że mogą sobie rozmaici agitatorzy wymyślać na Marszałka Piłsudskiego, co się im podoba, mogą rozmaici gazeciarze straszyć, że lud pójdzie z nimi przeciw rządowi, w którym jest Marszałek Piłsudski, rzeczywistości nic jednak nie zmieni: lud nie pójdzie nigdy przeciw temu, który Polskę z niewoli wyswobodził i doprowadził ją na szczyt chwały.

Mąż trzech żon. Wydział śledczy policji państwowej we Lwowie aresztował Adolfa Józefa Eisnera, z zawodu malarza pokojowego. Aresztowany on został pod zarzutem wielożeństwa. Mianowicie ożenił się raz z katoliczką, a dwa razy z żydówkami. Wszystkie trzy żony żyją i do tej pory nie wiedziały o faktycznym stanie. W roku 1921 w czasie swego pobytu we Wiedniu Eisner ożenił się tam z niejaką Reginą Rimanówną, wyznania mojżeszowego, poczem ją pozostawił, a sam wyjechał do Polski, nie dając o sobie żadnego znaku życia. Dnia 16 maja 1923 roku Eisner przeszedł z wyznania mojżeszowego na katolicyzm, a w grudniu 1924 roku poznał się z Bronisławą Kopp, zamieszkałą we Lwowie. Następnie w roku 1925 zawarł z nią ślub w kościele św. Mikołaja. Następnie trzeci raz Eisner w roku 1927 ożenił się w Łodzi z Esterą Kołowską, żydówką, do czego wykorzystał swoją dawną metrykę żydowską. Teraz dopiero cała historja wyszła na jaw, a po przeprowadzonych dochodzeniach Eisner dostał się do aresztów policyjnych.

Warszawianka karmicielką lwiąt. W ogrodzie zoologicznym w Warszawie wspaniała lwica Sylwia stała się matką. Ponieważ po upływie kilku godzin lekarz stwierdził, że lwica nie ma pokarmu więc lwiątka skazane są na śmierć głodową. Dowiedziała się o tem żona lekarza p. P., a ponieważ pierś jej obfitowała w ten drogocenny płyn odżywczy, więc wzięła na ręce młode lwiątka i pokarmiła je, jak własne dzieci. Zdarzenie to rozbiegło się lotem błyskawicy po Warszawie. Zachodzi tylko pytanie, czy pani doktorowa i nadal będzie mamką dla małych czworonogów.

Wypożyczone dziecko. Od pewnego czasu krążyła po domach w Kaliszu jakaś kobieta z dzieckiem na ręku i prosiła o wsparcie. Nikt nie przypuszczał, że żebraczka ta jest zwyrodniałą kobietą. Gdziekolwiek się pokazała, dziecko, przytulone do piersi, bardzo płakało. Sprawa ta wreszcie zwróciła uwagę policji. Okazało się, że rzekoma żebraczka wypożyczyła dziecko od jakiejś kobiety z Sieradza. Dziecko policja umieściła w szpitalu, przyczem okazało się, że jest już 2-letnią dziewczynką, ale tak nędzna i tak źle rozwinięta, iż wyglądała na kilkomiesięczne dziecko Na całem zaś ciele miała znaki od ukłuć szpilką. Na pytanie, czy wszystkie rany pochodzą z ręki żebraczki, dziecko odpowiedziało, że nie wszystkie, gdyż wypożyczały ją inne żebraczki. Policja skomunikowała się natychmiast z Sieradzem, gdzie przeprowadzono rewizję u tej kobiety, która dzieci wypożyczała. Przekonano się, że kobieta ta ma czworo dzieci, które wypożycza za pieniądze żebraczkom. Policja aresztowała zbrodniarkę.

Wybory w Czechach. Jak wiadomo, w niedzielę 27 października odbyły się wybory do parlamentu czeskiego. Było zgłoszonych 19 list, z których jednak trzy nie uzyskały żadnego mandatu. Na 298 wiadomych rezultatów Czesi otrzymali 172 mandatów, Niemcy 64, Słowacy 19, Węgrzy 9, Polacy 2, żydzi 2 i komuniści 30. Rezultat wyborów dla Polaków jest bardzo pomyślny, gdyż w poprzednim sejmie mieliśmy jednego reprezentanta, zaś obecnie będziemy ich mieli dwóch. (Dr Cho-

bot i Buzek). Sukces ten należy zawdzięczać zjednoczeniu się wszystkich Polaków na czas wyborów. Na wyborach najgorzej wyszli komuniści, którzy stracili 11 mandatów. Widocznie w przeciągu ostatnich czterech lat Czesi znacznie zmądrzeli.

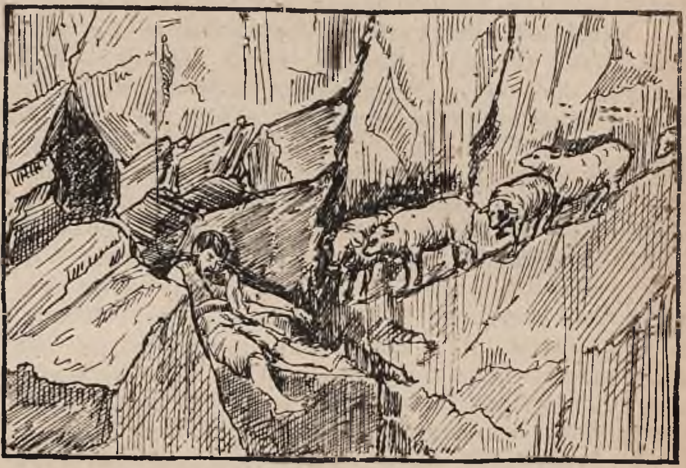
Dyktator Litwy zbrodniarzem. Jak donoszą z Kowna, osławionemu wrogowi Polski a dyktatorowi Litwy, Woldemarasowi, grozi uwięzienie. Oskarżają go, że z funduszów państwowych zabrał przed swem ustąpieniem półtora miljona litów (lit moneta litewska) i część tych pieniędzy rozdał swym przyjaciołom, część zaś pozostawił sobie. O skradzenie tych pieniędzy ma być wytoczony Woldemarasowi proces, w wyniku którego dotychczasowy potentant litewski może łatwo znaleźć się w kryminale.

Wykrycie wielkiej organizacji monarchistycznej na Kaukazie. Władze rosyjskie wykryły szeroko rozgałęzioną organizację monarchistyczną w całym północnym Kaukazie. Aby uniknąć prześladowań bolszewickich, ludność oburzona na rządy komunistyczne, zorganizowała się pod maską sekty religijnej, ukrywającej się przed okiem władz. Na czele organizacji stało dwóch braci Gregorowiczów, z których dawniej jeden był pułkownikiem, a drugi rotmistrzem armji carskiej. Organizacja ta miała licznych zwolenników wśród kozaków kaukazkich, kubańskich i czarnomorskich. Ktoś jednak zdradził ją, bolszewicy uwięzili nietylko jej przewódców, ale i licznych członków. Bez sądu 12 z nich rozstrzelano, resztę osadzono w więzieniach na 5 i 10 lat pokuty.

Szewc lekarzem. O stosunkach, panujących w Rosji, świadczy dobitnie następujący fakt. Oto w Saratowie stanowisko wysokiego urzędnika bolszewickiego zajmował niejaki Kolesnikow, szewc z zawodu. Początkowo dobrze mu się powodziło, ale z czasem zaczęło brakować pieniędzy. Kolesnikow nie miał ochoty powracać do zawodu szewskiego. Ale od czegoż spryt? Oto Kolesnikow, posiadając jeszcze władzę urzędową, wezwał do siebie profesorów uniwersytetu saratowskiego i zażądał od nich, aby mu wydali dyplom lekarski, na podstawie którego mógłby leczyć ludzi, przyczem oznajmił im, że o ile nie spełnią natychmiast jego żądania, zostaną bezzwłocznie rozstrzelani. Biedni profesorowie nie wątpili ani na chwilę, że Kolesnikow wrazie ich oporu spełni bezwzględnie swą groźbę. Po krótkim więc namyśle żądany dyplom wydali. Aby zupełnie zatrzeć ślady swej szewskiej przeszłości, Kolesnikow zmienił swoje nazwisko na Nielskiego i odtąd doktór Nielski leczył ludzi w Kijowie i innych wielkich miastach, nie wahając się na dokonywanie nawet najtrudniejszych operacyj. Nieuctwo jego nie podobało się innym lekarzom, ale siedzieli cicho, gdyż Kolesnikow-Nielski posiadał jeszcze wielkie wpływy u władz bolszewickich. Dopiero gdy jedna z pacjentek, którą Kolesnikow w przeciągu trzech dni wyprawił na tamten świat, okazała się siostrą wybitnego sowieckiego działacza, władze zainteresowały się dziwnym lekarzem. Rezultat śledztwa był jednak nieoczekiwany. Ze względu na „wybitne zasługi rewolucyjne“ Kolesnikowa darowano mu winę, a natomiast pociągnięto do odpowiedzialności i skazano na długoletnie więzienie profesorów, którzy podpisali fałszywy dyplom. I tak to ślusarz zawinił, a kowala powieszono.

Gospodarstwa z samych kur. W okolicach miasta Cottbus w Niemczech w majątku Klein Ossning ma powstać na 1000 morgowym obszarze wielki zespół gospodarstw, których zadaniem ma być podniesienie produkcji jaj w Niemczech. Obecnie bowiem Niemcy sprowadzają poważną ilość jaj z zagranicy. Projekt ten przewiduje budowę 100 małych farm czyli gospodarstw drobiu, z których każde przeznaczone jest na hodowlę 2.000 kur. W każdej farmie ma znajdować się dom mieszkalny z ogródkiem dla właściciela farmy oraz potrzebne do hodowli drobiu urządzenia. Fachową opiekę nad temi gospodarstwami kurnemi wykonywać będzie specjalna centrala, która ma starać się o jak najkorzystniejsze zakupy kur rasowych i o jak najkorzystniejszą sprzedaż wyprodukowanych jaj i o dostarczanie taniego pokarmu dla kur. Wszystkie te farmy kurne, jak obliczono, mają wyprodukować jaj wartości około 8 miljonów złotych.

Śmierć pasterza. Pewien pasterz siedmiogrodzki, pasący stado owiec wśród urwistych stoków tamtejszych gór, przez jakiś nieszczęsny wypadek wpadł w głęboką rozpadlinę i zginął na miejscu.



Gdy ani pasterz, ani owce nie wracały do szałasu, wybrano się na poszukiwanie. Po wielogodzinnem, mozolnem poszukiwaniu usłyszano rozpaczliwe beczenie owiec, a gdy wreszcie dotarto do owej rozpadliny, oczom szukających przedstawił się następujący widok: na dnie przepaści leżały zwłoki pasterza, a naokół stało nieruchomo całe stado owiec, wpatrzonych w martwe ciało i jakby skamieniałych z żalu.

Potworna matka. Straszna tragedja rozegrała się w domu wieśniaczki francuskiej w miejscowości Dieudhomme we Francji. Przed kilkoma miesiącami córka tej wieśniaczki, Alicja Mercier, licząca 19 lat, musiała się poddać po raz trzeci operacji żołądka. Mimo sprzeciwu chirurga, matka zabrała córkę ze szpitala, ponieważ nie chciała płacić za szpital. Sprowadziła chorą córkę do domu i nazajutrz kazała jej wypić kawę, do której wlała 5 gramów laudonum. Córka nie chciała pić, wówczas matka ściągnęła ją z łóżka na podłogę i skopała ją nogami, raniąc ją ciężko w chory brzuch. Córka straciła przytomność. Matka, sądząc, że córka nie żyje, przywołała sąsiadów, którzy zdołali przywrócić córkę do przytomności. Wówczas córka opowiedziała całą straszną historję. Matka, korzystając ze sposobności, chciała się najpierw powiesić, potem rzucić do studni. Wkońcu dostała obłędu i oddano ją do zakładu dla obłąkanych. Córka zmarła w nocy wśród strasznych męczarni.

„Święty biały słoń z Sjamu“. Jack Brown, właściciel cyrku i pogromca dzikich zwierząt, dawał przedstawienia w wielkiem, angielskiem mieście Glasgowie, ale powodzenie mu nie sprzyjało. Postanowił więc wprowadzić do swych przedstawień jakąś nowość, zapomocą której mógłby ożywić swoją działalność. Wreszcie wpadł na dobry pomysł: oto ogłosił miastu, że otrzymał od króla Sjamu świętego białego słonia, który samym swym wyglądem wzbudzi podziw wśród widzów. Jakoż pewne-

go dnia służba cyrkowa wyprowadziła na ulice miasta srebrno białego słonia. Pochód miał niebywałe powodzenie: tłumy ludzi zgromadziły się po obu stronach ulicy i biły oklaski, a służba cyrkowa rozdawała na lewo i prawo programy najbliższych przedstawień, w których miał się popisywać również i święty słoń. Niespodziewanie jednak ten powszechny entuzjazm został zamącony. Oto w chmurach na niebie zaczęło grzmieć i błyskać, wreszcie spadł deszcz. Służba cyrkowa nie zważała na to i szła dalej ze słoniem. Tymczasem z deszczu zrobiła się ulewa, a słoń pod wpływem deszczu zaczął zmieniać barwę. Najpierw pokazały się plamy czarne, a wreszcie cały słoń poszarzał, a tylko po bokach ciekło z niego coś jakby mleko. Publiczność poczęła gwizdać i tupać. Impreza cała nie udała się, a to tylko dlatego, że pan Brown zapomniał poinformować służbę o swoim pomyśle przemalowania słonia na biało.

Kradzież olbrzymiego djamentu. Opinję publiczną miasta Chicago i Nowego Jorku zajmuje obecnie kradzież djamentu, zorganizowana na wielką skalę. Najsprytniejsi detektywi amerykańscy starają się schwytać sprawcę kradzieży, dokonanej u jubilera Livingstone'a. Jubiler Livingstone nabył niedawno od pewnego Rosjanina wspaniały djament, jeden z największych na świecie, za cenę 25.000 dolarów. Cena była niska, ponieważ Rosjanin znajdował się w kłopotach materjalnych i nie znał wartości klejnotu. Po 24 godzinach Rosjanin zażądał zwrotu klejnotu, ale zadowolnił się kwotą dalszych 10.000 dolarów, które mu dał Livingstone. Po zakupieniu diamentu Livingstone wystawił go na pokaz w swojem oknie wystawowem. Djament nabyty prze Livingstone'a ważył 98 karatów i dawał przepiękny błękitny błysk. Przedstawia on w rzeczywistości wartość kilkuset tysięcy dolarów. W tych dniach Livingstone zawiadomił policję, że wspaniały djament znikł bez śladu. Opowiedział przytem romantyczną historję. Livingston kazał sporządzić fałszywy djament ze szkła, naśladujący prawdziwy, i ten djament umieścił w oknie wystawowem. Prawdziwy djament umieszczony był w biurze jego sklepu w schowku i zabezpieczony przed włamaniem elektrycznym sygnałem. Otóż nieznany sprawca przeciął druty sygnału elektrycznego i dostał się bez przeszkód do schowka. Prócz wielkiego djamentu złodziej zabrał kilkanaście innych djamentów. Zabrał tylko prawdziwe a zostawił fałszywe, które się również znajdowały w kasie. Musiał to więc być fachowiec. Jak przypuszczają kradzieży dokonał Rosjanin, który sprzedał jubilerowi wspaniały djament. Jak stwierdzono, przedstawił się jubilerowi pod fałszywem nazwiskiem. Rosjanin ten znikł bez śladu. Livingstone wyznaczył wielką nagrodę za odnalezienie skradzionego djamentu.

Niezwykła reklama. Amerykanie wiedzą, że reklama ma niezwykłe znaczenie i że przynosi ona im olbrzymie zyski, dlatego też wyszukują najrozmaitsze sposoby, aby jak najbardziej zareklamować swe towary. O dwóch takich reklamach opowiadają gazety amerykańskie. Oto jedna z gazet amerykańskich zamieściła następujące ogłoszenie: „Poszukuje się 12 eleganckich łysych panów, którzy się zdecydują na oddanie swych łysin, celem wykonania na nich reklamowych obrazków dla „The Manufactured Typewriters", co pod żadnym względem nie zaszkodzi ich zdrowiu. Panowie ci będą zobowiązani odwiedzać teatry i sale koncertowe i wogóle miejsca, do których uczęszcza się z odkrytą głową. Każdemu z nich dodany będzie towarzysz, który ma obowiązek chronić go przed natręctwem zbyt ciekawych. Tylko panowie o dobrych manierach i nieposzlakowanego charakteru będą brani pod uwagę". Oczywiście można być pewnym, że taka oryginalna reklama wywrze pożądany skutek. Inny sposób reklamy obmyślił sobie pewien amerykański dentysta. Wynajął sobie dwóch mężczyzn, ubrał ich elegancko i wysłał na ulice miasta, każdego oddzielnie. W miejscu, gdzie największy ruch, spotykają się owi panowie przypadkowo. Jeden zaczepia drugiego, przychodzi do słownej utarczki, a potem pierwszy wymierza drugiemu tak silny policzek, że ten pada nieprzytomny na ziemię. Robi się zbiegowisko, wołają policjanta, a kiedy już tłum urośnie do pożądanych rozmiarów, powalony na ziemię podnosi się z niej i z uśmiechem powiada do zgromadzonych: „Szanowni państwo! Pomimo tak silnego ciosu mam zęby nienaruszone, a to tylko dlatego, że są one sztuczne, a robił je pan X." tu wymienia firmę, u której zęby jego były sporządzone, okazuje swe zęby zdziwionej publiczności i oddala się pod rękę z swym rzekomym przeciwnikiem. O wypadku jeden drugiemu opowiada, a sława dentysty błyskawicznie rozchodzi się po mieście i ściąga mu nowych klientów.

Rozkosze amerykańskich zbrodniarzy. W Ameryce nawet o więźniów dbają, aby się nie nudzili. Oto, jak donoszą gazety tamtejsze, niedawno urządzono im mecz w piłkę nożną. Grali skazani na lat dwadzieścia ze skazanymi na lat pięć. Skazańcy dwudziestoletni okazali się lepszymi graczami i mecz wygrali. Poza piłką nożną popularnym sportem wśród więźniów jest lekka atletyka, przyczem słynne nowojorskie więzienie, przeznaczone dla najbardziej niebezpiecznych przestępców, posiada obszerne i ładnie urządzone boisko dla wszystkich sportów. Jedynie jest tam zabroniony skok na tyczce, gdyż kierownictwo więzienia obawia się, aby który z więźniów, wyćwiczywszy się dobrze, nie przeskoczył przez mur więzienny.

20 tysięcy dolarów za uratowanie życia. Amerykański żołnierz Erank Hoeflich z Albany otrzymał obecnie kwotę 20.000 dolarów za odważny czyn, którego dokonał przed kilkunastu laty. Hoeflich, gdy był jeszcze 13 letnim chłopcem, spotkał na drodze w Camp Smith człowieka ukąszonego przez węża. Człowiekiem tym był miljoner William Rapp. Owładnięty śmiertelną trwogą, leżał miljoner na drodze. W chwili, w której szofer jego miał go przenieść do samochodu, zbliżył się młodociany Frank i dowiedziawszy się od szofera o nieszczęściu, jakie spotkało miljonera, obejrzał ranę, a zobaczywszy, iż zagraża ona bezpośrednio życiu miljonera, oświadczył gotowość natychmiastowej pomocy i zapobieżenia skutkom ukąszenia jadowitej żmiji. Miljoner poddał się bez oporu woli chłopca, który wyciągnął scyzoryk, przeciął ranę i wyssał ją własnemi ustami. Uratowany w ten sposób Rapp zapisał sobie nazwisko odważnego chłopca i gdy niedawno znajdował się na łożu śmierci, przypomniał sobie tego, który ongiś uratował mu życie i pozostawił mu w testamencie 20.000 dolarów.

60 tysięcy ludzi w jednym domu. Były gubernator Nowego Jorku, Smith, który jak wiadomo kandydował wraz z prez. Hooverem, na stanowisko przezydenta Stanów Zjednoczonych podczas ostatnich wyborów, wrócił obecnie ponownie w krąg „wielkich interesów". Smith stanął na czele wielkiego towarzystwa, stworzonego wyłącznie w celu zbudowania największego drapacza chmur ze wszystkich istniejących dotychczas na świecie. Projektowany olbrzym posiadać będzie 80 pięter, ponad którymi wzniesie się wieża, która wystrzeli na wysokość 65 metrów ponad najwyższy dotąd drapacz chmur w Nowym Jorku. Koszta budowy projektowanego olbrzyma obliczane są mniej więcej na 60 miljonów dolarów. W kolosalnym tym gmachu będzie mogło znaleźć pomieszczenie 60.000 osób.

RZECZY CIEKAWE.

Jak zostać miljonerem.

Przed dwudziestu mniej więcej laty zapytywano kilku miljarderów amerykańskich, co należy robić, aby dojść do bogactwa. Odpowiedzi tych doświadczonych ludzi były przedewszystkiem bardzo krótkie.

Tak np. Carnegie odpowiedział w sposób następujący: „Aby zostać bogaczem, wystarczy urodzić się człowiekiem ubogim!" Może to i racja, lecz gdyby tylko ten jeden warunek wystarczał, w Polsce byłoby przeszło dwadzieścia miljonów miljonerów.

Inny miljoner, Astor, odpowiedział już nieco szczegółowiej, a mianowicie: „Nie róbcie długów, pracujcie, oszczędzajcie, a oszczędności swe umieszczajcie w roli". I ten przepis nie jest jednak radykalny, bo ileż to ludzi pracuje, oszczędza, a nie już do miljonów, ale nawet do tysięcy nie dochodzi.

Pittsburg poradził pewnemu młodzieńcowi, który chciał się zbogacić, aby tak dzielnie pracował, by na płacę, którą otrzymuje, zasłużył wielokrotnie. Ale i tu wydaje się, że raczej wzbogaciłby się wówczas pracodawca, a nie pracownik.

Rockefeller oświadczył, że bogactwo zawdzięcza tej okoliczności, iż całe swe życie wstawał bardzo wcześnie.

Jak z tych kilku przykładów widzimy, niema jakiegoś ogólnego sposobu wzbogacenia się, a zależy ono raczej od szczęśliwego zbiegu okoliczności.

Złodziejki życia.

Zanim opowiemy, co to są te złodziejkj życia, należy zaznaczyć, iż Chińczycy wierzą, że dusza zmarłego człowieka może być wcielona w ciało innego, który dopiero ma przyjść na świat. Otóż na tej podstawie Chińczycy wierzą również, że jeżeli umrze panna, to zawisa ona dotąd pomiędzy niebem a ziemią, póki drugi raz nie wcieli się w ciało ludzkie i z nim razem niejako powtórnie się nie narodzi. W myśl więc tych wierzeń, dusze zmarłych panien, kiedy się dowiedzą, że gdzieś na świecie urodził się chłopiec, czyhają w pobliżu niego, aby w przeciągu pierwszych stu dni życia tego chłopca duszę jego ukraść. Stara legenda bowiem powiada, że dusze tych panien nie mogą dotąd wcielić się w inne ciało, póki nie skradną duszy chłopięcej i nie złączą się z nią. Jeżeli zaś dusza zmarłej panny zdoła skraść duszę chłopięcą w przeciągu pierwszych stu dni jego życia, już bez trudu przychodzi drugi raz na świat. Oczywiście chłopiec, któremu duszę zmarła panna skradła, umiera.

Ten niesamowity w swej grozie przesąd nakłada na matki zmarłych chłopców ciężki obowiązek skrupulatnego nad dzieckiem czuwania w ciągu stu dni i stu nocy, aby ustrzedz duszę jego przed złodziejkami życia. W tym celu używane są najrozmaitsze środki ochronne, z których dwa najciekawsze godzi się przytoczyć.

Codzień w ciągu 100 dni po urodzeniu chłopca matka pali stare, najstarsze i najbrudniejsze obuwie. Straszliwy odór, wydzielający się z tej spalenizny, wypłaszać ma delikatnem powonieniem obdarzone dusze zmarłych panien...

Drugi sposób polega na otoczeniu kołyski noworodka rybackiemi sieciami. Podobno każde oczko tej sieci ma się duchowi zmarłej panny wydawać prawdziwem okiem ludzkiem, które czuwa i patrzy. Zmarła panna zlęknie się tak wielkiej liczby rozwartych szeroko oczu i zwieje co tchu w piersiach... Dla lepszego odstraszenia od dziecka złodziejek życia sieci smarowane są od czasu do czasu świńską krwią. — Tradycja mówi, że krew ta posiada moc nieugiętą i nie dopuści do kołyski biednych zmarłych panien.

Pomimo tych środków ochronnych zdarza się, że w okresie niebezpiecznych stu dni jakaś odważniejsza czy sprytniejsza złodziejka życia zdoła porwać duszę jakiegoś noworodka. Wówczas domy drżą od płaczu, skarg, lamentów i jęków. Zdarza się, że nieszczęśliwa matka uchodzi aż na dach domu, skąd zarzuca straszliwemi obelgami złodziejkę życia. W tej jeremjadzie uczestniczą czasem krewni i sąsiedzi.

Ale to wszystko nic nie pomaga. Dziecko umarło i nic nie jest w stanie przywrócić mu życia. Za to szczęśliwa złodziejka duszy dziecka odzyskuje prawo ponownego przyjścia na świat. Można się domyślić, jak w tem swojem, drugiem życiu pragnie co tchu znaleźć męża, byle uniknąć przykrości wiszenia po śmierci między niebem a ziemią.

Analfabetyzm na świecie.

Według danych, zgromadzonych i ogłoszonych ostatnio przez Wydział szkolnictwa w Waszyngtonie, z ogólnej liczby ludności świata ponad 10 lat życia, a wynoszącej miljard trzysta sześćdziesiąt trzy miljony dziewięćset tysięcy osób, nie umie ani czytać, ani pisać 850 miljonów ludzi, a więc przeszło połowa ludności świata.

Kakao.

Kakao otrzymuje się z nasion podzwrotnikowej rośliny amerykańskiej zwanej kakaowcem. Jest to drzewo dochodzące do 12 m. wysokości, o dużych liściach, drobnych różowych kwiatkach i owocach żółtych, wielkości i kształtu sporego ogórka. W słodko-kwaskowatym miąscu znajduje się pięć rzędów purpurowych nasion wielkości migdała o smaku cierpko-gorzkim. Nasienie to poddaje się fermentacji, następnie suszy się i praży, przyczem odchodzi łupina, spotykana w handlu jako surogat kakao pod nazwą „łupinek kakaowych". Pozostałe jądro zawiera około 50 proc. twardego wonnego tłuszczu, około 13 proc. brądku i 20 procent węglowodorów. Kofeiny i tedrominy posiada do 1.8 proc. Ponieważ kakao posiada dużo składników pożywnych, więc nie przyrządza się z niego tylko odwarów wodnych, jak z kawy i herbaty, lecz spożywa się sproszkowane w całości. Czekoladę tabliczkową sporządza się z nasion nieodtłuszczonych z cukrem i przyprawami jak np. wanilją. Dla otrzymania kakao w proszku, odtłuszcza się nasiona, wyciskając z nich 30 do 40 proc. tłuszczu.

Odtłuszczone kakao w proszku wprowadził do użytku fabrykant holenderski Van Houten przed stu laty, pierwszą zaś fabrykę czekolady w tabliczkach założył w r. 1819 T. L. Cailler w Vevey w Szwajcarji. Jak wspomnieliśmy — przybyło do nas kakao z Ameryki środkowej. Kolumb podczas czwartej podróży swej spotkał na półwyspie Yucatan migdały, zwane kakao, używane jako monety; w Meksyku ludność opłacała tą „monetą" podatki królowi. Mieszkańcy Ameryki środkowej nie przyrządzali jednak kakao z cukrem: gotowali oni całe owoce i przyprawiali je... papryką. Nie zachwycali się tym amerykańskim przysmakiem europejscy podróżnicy. Girolamo Benzoni, który podróżował w połowie szesnastego wieku po Ameryce środkowej pisze: „Są to raczej pomyje dla świń, niż napój ludzki. Podróżując w tych krajach przez rok prawie, miałem obrzydzenie do tego pa-

skudztwa, lecz, że nie miałem ze sobą wina poddostatkiem, a nie zawsze mogłem pić wodę, więc nauczyłem się naśladować innych". Dopiero Hiszpanie zaczęli przyprawiać czekoladę bez ostrych przypraw i z cukrem, i już około 1580 była czekolada ich narodowym napojem. Tak przyrządzona czekolada podobała się Europejczykom; Karol Linneusz, botanik szwedzki, dając roślinie kakaowca nazwę naukową, nazwał ją „Theobroma Cacao" to znaczy „kakao — nektar bogów".

ODPOWIEDZI REDAKCJI.

PP.:**Jasień** w Ł.: Wszystkie nadesłane utwory zupełnie dobre. Czy w „Wołaniu" nie byłoby dobrze zaznaczyć wyraźniej, że był to głos Feli, wzywającej Aleksego do powrotu? O przyobiecane prace bardzo prosimy; szczególniej ciekawiśmy na „Cyganichę". „Rolę" nietylko prenumerują, ale i czytają wszystkie stany, począwszy od profesorów uniwersytetu, a skończywszy na małych chłopiętach, którzy ledwie słowa drukowane poskładać potrafią. Najwięcej jednak Czytelników posiada wśród inteligentnych włościan. — **Władysław Płomiński** w M.: Nadesłany artykuł zamieszczamy. Na przyszłość prosimy bardzo pisać tylko po jednej stronie papieru, gdyż nam to ułatwia pracę. — **Józef Serafin** w M.: Z nadesłanych prac w miarę miejsca skorzystamy. Szczególniej „Dzieci" są bardzo dobre. — **El-jot** w K.: Wierszyk „Zaduszki" bardzo dobry; niestety przyszedł, gdyśmy już mieli poprzedni numer gotowy. Schowamy go na przyszłość. — **Alfons Czader** w S. W.: Za przesyłkę serdecznie dziękujemy. — **Leon Mulicki** w J.: Rękopisów nie zwracamy. Zresztą bajkę tę napisał Tetmajer o wiele ładniej, aniżeli ta bułgarska. — **Piotr Wenc** w S.: Artykuł bardzo dobry i na czasie. Dziękujemy. — **Władysław Mirek** w N.: Że posiada Pan talent, tego zaprzeczyć się nie da, ale utwory Pańskie jeszcze zbyt młodzieńcze, nieskrystalizowane. N. p. „Walek Gajdas" to rzeczywiście temat do humoreski znakomity, ale rzecz całą trzebaby przeprowadzić inaczej, nie tak po kronikarsku. „Władek" to znów temat do dłuższej powieści, nad którą trzebaby posiedzieć czas dłuższy, obmyśleć poszczególne rozdziały i umiejętnie przeprowadzić całą akcję. W tej formie ani jeden, ani drugi utwór nie nadaje się jeszcze do druku. A jakiż ładny obrazek tworzyłaby „Śmierć górala"? Trzebaby tylko dobrać umiejętnie rymy, których w Pańskim utworze brak, lub są źle użyte. Nie można bowiem rymować słów: „Lasy-kosy", lub „ściernisku-kosisku", albo też używać jednego i tego samego słowa, jako rymu („kruk"). Niech Pan pracuje nad sobą dalej, bo warto pracować, a wówczas rezultaty mogą być bardzo dobre. — **J. Matlak** w K.: Rozwiązanie z Nru 42 przyszło zapóźno. — **Jan Banaś** w P.: Powieści, o których Pan wspomina, nie znamy. Czy je Pan posiada? — **Franciszek Klimeczko** w W.: Gdy tylko będziemy w księgarni, o wiadomą książkę się zapytamy, a gdy będzie, zawiadomimy Pana. Za pozdrowienia i życzenia dziękujemy. — **Prenumerator** poszukujący pni pszczół, może nabyć je u Józefa Jękota w Woźnikach L. 40, poczta Wadowice lub u Wawrzyńca Kosiatego w Komorowie Nr. 6, poczta Bogumiłowice. — **Maciej Kacynel** w Ł.: „Rola" dla Pana jest w Indurze w piątek wieczór i w sobotę, powinien Pan otrzymać. Niech Pan idzie raz do urzędu pocztowego w Indurze i sprawdzi czy „Rola" dla Pana posłańcowi do doręczenia wydaną została. Z naszej strony zrobiliśmy zażalenie do Dyrekcji poczt. — **Sittek Franciszek** w K.: Dziękujemy i wzajemnie pozdrawiamy. — **W. Mirek** z N.: Na liście poleconym były nalepione dwie marki po 50 gr. (razem 1 zł.) — **Maryśka z Kamionki:** Wspomnianych utworów nie otrzymaliśmy; widocznie list zaginął. — **Franciszek Surówka** w K.: Wiersz dobry, lecz przyszedł zapóźno.

Unieważniam skradzioną książeczkę wojskową na nazwisko Wojciecha Zielińskiego z Siedlec, urodz. w roku 1888, wystawioną przez P. K. U. Nowy Sącz.

Zagadki do nagrody.

1. Logogryf.

(Ułożył Z. Rojkowski z K.).

■ ☆ ☆ ☆ ☆ Statek spacerowy.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ Ubranie z obcego języka.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ Sługa rycerza.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ Kraj w Afryce.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ Połączenie podziemne.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ Silny.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ Imię żeńskie
■ ☆ ☆ ☆ ☆ Słaby inaczej.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ Materjał budowlany.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ Za chwilę.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ Zdrobniałe imię męskie.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ W średniowieczu lennik.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ Część.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ Młot.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ Ptak.

Pierwszy rząd czytany z góry na dół da nam imię i nazwisko malarza zmarłego niedawno.

2. Szarady literowe.

(Ułożył H. Biłka-Głębicki).

I.

Pierwsze siódme trzecie, pierwiastek chemiczny,
Czwarte piąte szóste, rozdział dramatyczny,
Zaś druga i ósma litera w alfabecie —
A całość nad „Rolą" pracuje zawzięcie.

II.

Tak pierwsze drugie się zdaje,
Że cała jest rzeczą wielką!
(Ożenił się Jaś z Anielką,
Ta dwa pierwsze szczęście daje).
Pierwsze drugie trzecie czwarte
Żenić się — tak Bzdura gada —
Lecz mieć kudły ze łba zdarte,
Znów się żenić nie wypada!
Kiedy zaś całej brakuje,
To cztery pięć szósta wtedy!
(Więc się chrońcie od tej biedy),
Ona ciągle w gardle kłuje.

III.

Proszę cztery, pięć i pierwsze
Ukochani Czytelnicy!
Cały pisał cudne wiersze —
Niechał go tu kto wyliczy!
Pierwsze dwa trzy cztery trzecie
Odgawniecie tylko jedno —
Widzi me łzy siedem trzecie,
W szarady traficie sedno.
Wszak sześć osiem Czytelnicy,
Którzy zgadną to zadanie,
Nie odejdą po próżnicy —
Nagroda im się dostanie!

3. Łamigłówka kratkowa.

(Ułożył M. Blum z W.).

A	1					
B		2				
C			3			
D				4		
E					5	
F						6

W sześciu rzędach oznaczonych literami: A, B, C, D, E, F, ułożyć w każdym po wyrazie sześciozgłoskowym. Litery, wskazane przez cyfry od 1 do 6 włącznie utworzą nazwę pustyni.

Sylaby: Syd—nna—ma—tot—ney—chock—ward—Kan—o—Gu—Ed—ja—li.

Znaczenie wyrazów: A) Miasto w Australji. B) Biuro (inaczej). C) Miasto w Azji. D) Kolonja w Ameryce Poł. E Imię męskie. F) Owoc.

Termin nadsyłania rozwiązań upływa dnia 16 b. m.

Znaczenie zagadek z Nru 43 „Roli": 1. Łamigłówka czteroliterowa: Tatarak. 2. Zagadka: Kowalskina. 3. Szarada: Porzeczka. 4. Układanki geograficzne: Stryj, Ateny, Macedonja, Wieliczka, Dunaj, Bombaj, Kolumbja, Tokio. 5. Zagadki humorystyczne: I. Karygiel. II. Rozgwiazdy. III. Swiekra.

W oznaczonym czasie rozwiązania nadesłali pp.: Alfons Czader z S. W., Piotr Wence z Ś., Jan Gara z W., Stanisław Korzeń z J., Franciszek Niedbała z T.

Nagrody wylosowali pp.: Piotr Wenc z Ś. i Stanisław Korzeń z J.

Wydawca: Feliks Kowalczyk. **Odpowiedzialny Redaktor: Antoni St. Bassara.**
W drukarni „Czasu" w Krakowie pod zarządem Leopolda Wójcika.

Wolna wola człowieka.

Mąż, który w jakimś wyczytał autorze,
Iż człowiek wszystko, co chce, zrobić może,
Gdyż wolną wolą został obdarzony,
Rzekł: kto to pisał nie musiał mieć żony.

Przebaczył.

— Przebacz mi pan, żem pana wczoraj po pijanemu nazwał szubrawcem? Czy nie masz pan tego za złe?

— Broń Boże!... Przecież jesteśmy kolegami.

Amerykanin i mumja.

Opasły Amerykanin z żoną stoją przed bardzo uszkodzoną mumją w muzeum w Kairze. Pod sarkofagiem widnieje napis: A, 3645.

— Co to znaczy, Jim — pyta żona.

— To napewno numer samochodu, który nieboszczyka tak pokiereszował.

Ceny bydła i nierogacizny na krakowskiej targowicy:
w dniu 31 paździer. b. r
Płacono za jeden kilogram żywej wagi:

Buhaje	od 1·00 do 1·70 zł.	Jałownik	od 1·20 do 1·75 zł.
Woły	od 1·35 do 1·80 zł.	Cielęta	od 2·02 do 2·88 zł.
Krowy	od 0·76 do 1·74 zł.	Kozy i barany	0·00 do 0·00 zł.
Nierogaciznę	2·15 do 2·75 zł.	Nierogaciznę bitej wagi	od 3·15 do 3.55

Giełda płodów rolniczych
z dnia 5 listopada b. r.

Pszenica	39·50—39 50	Słoma długa	8·00—9 00
Żyto	25 00—25 50	Ziemniaki stoł.	6·00—7 00
Owies	21 50—22·50	Koniczyna nasienn. czer.	00·00—00·00
Jęczmień	23·00—25·00		
Fasola biała	100·00—105·00	Mąka żytnia	40·00—41·00
Groch zwyk.	48·00—50·00	Mąka pszen.	71·00—72·00
Siano słodk.	10·00—11·00	Otręby pszen.	15·50—16·00
Łubin żóły	28·00—29·00	Otręby żytnie	16·00—16·00
Koniczpastew.	13·00—15·00	Mąka czerw.	19·00—20·00

Ceny rozumieją się za towar średniej handl. jakości za 100 kg.

Aleksander Wnękowski

Introligatornia

Kraków, ul. św. Sebastjana L. 11.

oprawia książki pojedynczo i w większych nakładach, wykonuje starannie, po cenach niskich.

Żądajcie wszędzie

najlepszych wirówek do mleka marki

LIBELLA  **LIBELLA**

Dogodne warunki kupna.

Długoterminowy kredyt.

Spłata miesięcznemi ratami.

SKŁADY W MAŁOPOLSCE:

Lwów: J. Ehrlich, ul. Gródecka 42.
Nowy Sącz: Dom Rolniczy, Rynek 10.
Bochnia: Jutrzenka, Sp. Roln. Handl.
Żywiec: S. Zuckerman.
Cieszanów: Aszer Diller.
Mielec: E. Semmel, ul. Pańska.
Ujście Jezuickie: Al. Kampf.
Krosno: Fr. Mrugała, ul. Piłsudskiego 20.
Jasło: A. Kern.
Tomaszów Lubelski: „Ekonomja" ul. Kościuszki 52.
Sanok: A. Langer.
Łapanów: L. Kempler.
i t. d.

Biuro sprzedaży

Zakładów Skody KRAKÓW, ul. św. Gertrudy L. 11.

Przy zmianach adresów należy podać także adres dawny, abyśmy go mogli wykreślić a przytem nowy adres wpisać.

Do sprzedania starożytny **młyn gospodarczy,** o większej sile wodnej, w dobrym stanie, wolny od wszelkiej konkurencji, w tem odpowiedni staw, około 4 morgi ziemi. Wszelkie informacje na miejscu: **Kolbusz Jan** młyn Klecie, ost. p. Brzostek, pow. Pilzno, stacja kolej. Jasło.

Kupujcie wprost u wytwórcy!

Powroźnicze

wyroby pierwszorzędnego wykonania jak:

Liny konopne transmisyjne dla fabryk i kopalń, budowlane, do żeglugi i rolnictwa, wyroby do rybołóstwa, linki strażackie, turystyczne, drabiny linowe, sznury białe i szare, postronki na uprząż, lejce, uździenice, pasy, taśmy, szpagaty, hamaki, huśtawki, siatki, konopie czesane pakuły do uszczelnień i t. p. dostarcza:

Wysyła monterów do lin transmisyjnych.

Sprzedaż częściowa i hurtowna.

Cenniki na żądanie.

Uwaga na dokładny adres.

Fabryka Powroźnicza

Stanisława Wałkowińskiego

w Krakowie-Zwierzyniec ul. Lelewela 11

Bandażysta!

Specjalny. Fachowiec od lat 40

A. M. MIRKIEWICZ

Kraków, Mostowa L. 4.

Poleca bandaże przepuklinowe własnych ulepszeń bardzo praktyczne i wygodne w noszeniu. Również pasy bez sprężyn nowych systemów. Pasy brzuszne oraz pooperacyjne itp. Dla dzieci nowość niebywała bardzo skuteczna. Wykonuję pod gwarancją.

Praktyczne wyjaśnienia listowne. (Na odpowiedź znaczek). Ostrzega się przed blagierami niefachowymi, którzy narażają na różne przykrości itp.

Piosenkarz Polski Zbiór najpiękniejszych piosenek: Piosenki ludowe, taneczne, miłosne, żartobliwe Krakowiaki, Mazury, Oberki, Kujawiaki, dumki, serenady, Piosenki młodzieży, piosenki narzeczonych, piosenki swatów, piosenki drużbów, piosenki taneczne na weselu, śpiewki przy oczepinach, piosenki dożynkowe i wiele wiele innych. Stron 120. Do nabycia w Administracji »Roli«. Cena 1·20 zł

Za zmianę adresu należy się 40 groszy.